

Helen Brookes
Oaza zapomnienia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Gdzie ty, do diabła, jesteś? Odchodzimy tu wszyscy od zmysłów, a David wyrywa sobie włosy z głowy. No, może nie dosłownie. Co z tobą, na litość boską, nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku. - Kit wzięła długi, głęboki oddech. O Davidzie nie chciała nawet słyszeć. - Między nami wszystko skończone. Nie powiedział ci?

- Powiedział - przyznała jej przyjaciółka pogardliwym tonem. - On jest po prostu skończonym głupcem. Zawsze nim był, chociaż przykro tak mówić o własnym bracie. Żeby szlajać się z taką Virginią! Z kim jak z kim, ale...

- Emma... - Kit zacisnęła powieki i z łomoczącym sercem modliła się w duchu, żeby jej głos brzmiał spokojnie i zimno. - Nie chcę o tym rozmawiać. Zostałam ich w łóżku i nasze zaręczyny są nieaktualne. To wszystko. Koniec pieśni. Posłuchaj, zleciłam opłacenie połowy czynszu za nasze mieszkanie...

- Ale gdzie teraz jesteś? - Emma przerwała jej gorączkowo. - Nie zrobisz chyba żadnego głupstwa, prawda?

- Oczywiście, że nie! Wybrałam się na krótkie słoneczne wakacje, żeby pomyśleć spokojnie, co robić dalej, to wszystko. Odezwę się do ciebie za jakiś tydzień. Cześć, Emma, trzymaj się.

Odłożyła słuchawkę i drżąc cała, oparła się o ścianę hotelowej kabiny. Rozmowa z przyjaciółką wywołała w niej tak żywe wspomnienie Davida, że niemal widziała przed sobą jego twarz, grymas na ustach, z jakim warknął na nią w progu mieszkania, które mieli kupić przed planowanym małżeństwem, cztery miesiące temu. I nagie ciało Virginii, szybko ukryte przed jej wzrokiem za drzwiami sypialni, które zatrzasnął z hukiem, biegnąc za nią do wyjścia.

- Wysłuchaj mnie, do cholery! - Owinał się ciasniej kąpielowym szlafrokiem, jakby w odruchu obronnym przed spojrzeniem jej wielkich szarych oczu, które wyrażało pogardę i niesmak.

- To nie ma sensu. - Zdawała sobie sprawę, że działa odruchowo, jak automat, ale błogosławiła szok, dzięki któremu nie puściły jej nerwy na oczach Davida. - A to, jak mi się zdaje, należy do ciebie.

Kiedy zdjęła z palca i podała mu zaręczynowy pierścionek z brylantem, spurpurowiał na twarzy. Agresywna nonszalancja, z jaką patrzył na nią chwilę wcześniej, ustąpiła miejsca zmieszaniu i panice.

- Nie bądź głupia - parsknął wściekle. - Nie zamierzasz chyba rzucić mnie z takiego powodu? – Machnął niedbale ręką w stronę zamkniętej sypialni. – Musiałem sobie po prostu ulżyć, a ona była pod ręką... Kit! - Chwycił ją za ramię, kiedy odwróciła się bez słowa. - Kit, zastanów się, to niepoważne. Mamy się pobrać, urządziliśmy to mieszkanie, kupiliśmy meble i mamy tyle wspólnych rzeczy...

- Zatrzymaj je. Zatrzymaj wszystko.

Pozwól mi stąd odejść z odrobiną godności, rozpaczliwie modliła się w duchu. Bardzo wysoka i smukła, sprawiała wrażenie osoby dość chłodnej, opanowanej, i nigdy nie była z tego bardziej zadowolona niż w tamtej chwili, kiedy spojrzała mu prosto w oczy, wykrzywiając z pogardą usta.

- Teraz nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na ziemi.

Wybiegła z mieszkania, ścigana stekiem wyzwisk, przed oczyma wciąż mając nagie ciało Davida oplecione nogami Virginii.

Teraz na wspomnienie tamtego epizodu ogarnęły ją mdłości i musiała natychmiast zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdy z przyjemnego chłodu klimatyzowanego hotelu wydostała się na zewnątrz, poczuła się jak w piecu. Błękitne, opalizujące niebo falowało od żaru. Casablanca. Kit wyprostowała przygarbione plecy i ruszyła do małego czerwonego kabrioletu, który wynajęła na lotnisku. Postanowiła natychmiast wziąć się w garść i na czas podróży zapomnieć o bolesnym upokorzeniu. Po powrocie do domu będzie musiała stawić czoło nowej sytuacji, choćby, dlatego, że od półtora roku ona, Emma i David prowadzili wspólną firmę zajmującą się wzornictwem. Ale teraz dosyć lizania ran; dzisiaj miała zamiar zwiedzać Maroko. A jeśli wieczorem w ciszy swojego pokoju znowu zacznie wyplakiwać gorzkie łzy, trudno... tylko ona będzie o tym wiedziała.

Ruszyła na południe, drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża Atlantyku, do Essauiry, co po arabsku znaczy „mała twierdza”. To kierownik hotelu wzbudził w niej zainteresowanie tym miastem, opowiadając, że do jego portu zawijali już Fenicjanie i Kartagińczycy, a w czasach berberyjskiego władcy Mauritanii - Tingitana - starożytni Rzymianie, którzy zaopatrywali się w Essaurze w cenny czerwony barwnik, produkowany ze skorupiaków, a służący im do farbowania tóg.

Z okien samochodu Kit podziwiała piękno miasta, z jego szerokimi bulwarami, przecinającymi się pod kątem prostym, cytadelami i wspaniałymi zabytkami.

Zaparkowała przed Bramą Morską i rozpoczęła wędrowkę, zaczynając od zwiedzania portu - gwarne, tętniącego życiem, zatłoczonego łodziami rybackimi, pachnącego smażonymi na poczekaniu sardynkami. Potem zwiedziła szczególnie piękną starą część miasta, zwaną

medyną, spacerowała jej wąskimi uliczkami, zajrzała do kilku sklepów oferujących słynne miejscowe wyroby z drewna, dywany z Rabatu, hafty z Fezu, ceramikę z Safid, marokańską srebrną biżuterię... i tysiące innych kuszących wzrok artykułów. Ledwie starczyło jej siły na rozejrzenie się po pobliskim bazarze. Zmęczona ruchem i zgiełkiem, skręciła w uliczkę prowadzącą do spokojniejszego rejonu miasta. I nagle, w tej samej chwili, gdy na odgłos kroków za plecami poczuła zimny dreszcz na karku, silny cios w skroń przemienił światło w snop iskier. Gdy napastnik zerwał jej z ramienia torbę, upadła, pogrążając się w czarnej otchłani nieświadomości.

Odzyskiwała przytomność wolno, bardzo wolno, czując bolesne dudnienie w głowie, które porażało całe jej ciało i wszystkie zmysły.

- Słyszysz mnie? Spróbuj otworzyć oczy.

Głęboki męski głos i dotyk zimnej ręki na rozpalonym czole dotarł do jej świadomości, ale kiedy posłusznie zamrugała powiekami, porażona ostrym światłem, natychmiast je zacisnęła.

- Dobrze. Teraz cię podniosę, ale jesteś już zupełnie bezpieczna. Rozumiesz mnie?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Wiedziała tylko, że ktoś ją niesie i że powinna jeszcze raz spróbować otworzyć oczy, odezwać się, ale jakoś o wiele łatwiej było zapaść się z powrotem w tę miękką, otulającą ciemność...

- Postaraj się i spróbuj teraz.

- Co? - Z wysiłkiem uniosła ciężkie powieki. W chłodnym, ciemnym pokoju łatwiej jej było skupić wzrok na zaciętej męskiej twarzy.

- Kilka razy w ciągu ostatnich minut traciłaś i odzyskiwałaś przytomność.

Był potężny, śniady, ciemnowłosy, a jego głos słyszała już wcześniej. Miał intrygujący akcent. Francuz? A może Włoch?

- Leż spokojnie i spróbuj się skoncentrować na mojej twarzy, dopóki nie miną ci zawroty głowy. Dobrze?

Lepiej niż dobrze. Jeśli Dawid Michała Anioła był piękny, twarz tego mężczyzny była zachwycająca. Miał gęste, lśniące ciemnokasztanowe włosy. Szerokie kości policzkowe, prosty nos, zmysłowe, niemal wyzywające usta i płomienne oczy, prawie tego samego koloru co włosy, dopełniały obrazu agresywnej, żywiołowej męskości, która zrobiła na Kit tak piorunujące wrażenie.

Ale kim jest ten człowiek? I gdzie ona jest? Dlaczego czuje się tak strasznie chora?

- Proszę... - Kiedy spróbowała wesprzeć się na łokciach i usiąść, tajemniczy opiekun

poderwał się z krzesła.

- Powiedziałem, żebyś spokojnie leżała. - Jego głos był stanowczy i chłodny. - Dostałaś paskudny cios w głowę, więc nie rób głupstw.

- Ja...? - Załamał jej się głos i ledwie powstrzymała wzbierające pod powiekami łzy. Gorące łzy bólu i bezradności.

- I nie rozklejaj się, proszę. - Wbił w nią twardy wzrok. - Muszę wiedzieć, jak się nazywasz, w którym hotelu się zatrzymałaś, cokolwiek. Jesteś turystką, prawda? - Wciąż mówił chłodnym, beznamiętnym głosem.

- Turystką? - Miała wrażenie, że drętwieje jej język. - Nie wiem.

Turystką? Strach, który rósł w niej od chwili, kiedy otworzyła oczy, teraz ścisnął jej gardło i odebrał mowę. Mogła być turystką. Mogła być kimkolwiek. Nie pamiętała.

- Spokojnie, odpręż się. - Dostrzegł przerażenie w jej oczach i zrozumiał. - Doznałaś wstrząsu mózgu i jesteś w szoku. Bydlak, który tak cię urządził, ukraść ci oczywiście torbę, więc nie mogliśmy ustalić, kim jesteś. Kiedy się obudziłaś, miałem nadzieję, że odpowiesz na kilka pytań, ale w tej sytuacji... - Wzruszył nieznacznie ramionami. - Policja będzie musiała sobie z tym poradzić.

Gdy pochylił się w jej stronę, mimowolnie skuliła ramiona, a potem zarumieniła się, kiedy z drwiącym spojrzeniem przetarł delikatnie jej twarz i usta wilgotną pachnącą chusteczką.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. - Wstał i dopiero wtedy zobaczyła, jak bardzo jest wysoki. Miał blisko dwa metry wzrostu i sylwetkę, z którą mógłby wygrać każdy konkurs Mister Universum. - Nazywam się Gerard Dumont - dodał leniwie. - A ty...?

- Ja... nie wiem - odpowiedziała umęczonym głosem.

- Nie wiem, kim jestem.

- Nie szkodzi, nie ma powodu do paniki. Miną skutki wstrząsu i wtedy sobie przypomnisz.

Ten jego poprawny angielski z obcym akcentem dodawał mu jeszcze uroku. Gdy nagle po raz pierwszy uśmiechnął się, Kit wstrzymała oddech. Był niesamowity. Naprawdę niesamowity. Czy zdawał sobie sprawę, jakie wrażenie robi na kobietach? Patrzyła w milczeniu na jego opaloną piękną twarz, oszołomiona własną bezradnością - uczuciem, które zdawało jej się obce - i przerażona

utrata pamięci. Musi postarać się ją odzyskać. Coś przecież musi pamiętać...

- Swoją drogą, policja jest na tropie. - Przyglądał się jej bacznie. - Pech chciał, że zostałaś napadnięta w tym samym czasie, kiedy w centrum miasta obrabowano wielki sklep z biżuterią. Domyślasz się pewnie, że to nie tobą zajęli się w pierwszej kolejności.

- Aha. - Miała uczucie, że lada moment eksploduje jej czaszka. - Gdzie ja jestem?
- W moim biurze. Naprawdę niczego nie pamiętasz? Przyjrzyj się swojemu ubraniu. Może coś ci zaświta. Uniknęłabyś miliona pytań, które może zadać ci policja. Subtelność nie jest ich mocną stroną.

Zerknąwszy na nogawki swoich białych spodni z cienkiej bawełny, o nienagannym kroju, próbowała uporządkować jakoś rozbiegane myśli. Zgrabne skórzane sandały w kolorze kawy z mlekiem i pasująca do nich krótka bluzka również wyglądały na rzeczy niezbyt tanie. Dobrze. Na pewno nie była najbiedniejsza, ale kim do licha była?

- Nic z tego. - Opadła z powrotem na kanapę i zamknęła oczy. - Przykro mi.

Gdy kilka minut później zjawiła się policja, jednej rzeczy mogła być pewna: nie знаła miejscowego języka. Szczęśliwie obaj policjanci mówili całkiem płynnie po angielsku, ale niewiele im wyjaśniła, powtarzając raz po raz to samo, aż zakręciło jej się w głowie.

- Myślę, że tę panią musi obejrzeć lekarz. - Gerard przerwał w końcu stanowczo to jałowe przesłuchanie.

- Czy muszę z nimi jechać? - Kit spojrzała na niego przerażonym wzrokiem. Na myśl o rozstaniu z jedyną osobą, którą choć trochę znała w tym obcym kraju, ogarnęła ją panika.

- Będziesz całkowicie bezpieczna. - Powiedział to lekko zniecierpliwionym tonem, zerknąwszy przedtem ukradkiem na złoty zegarek.

- Na pewno. - Głos Kit zabrzmiał ostro, wbrew niej samej, ale Gerard nie mógł dać jej jaśniej do zrozumienia, że jest dla niego zawadą, i wszystko się w niej nagle zbuntowało. - Musi pan być bardzo zajęтым człowiekiem, panie Dumont. Proszę nie zawracać sobie mną głowy. Dziękuję za pańską uprzejmość.

- I wtedy spojrzał na nią, po raz pierwszy spojrzał na nią naprawdę. Jej szare oczy zmierzyły się z jego złotobrazowymi, najpierw hardo, dumnie i lekceważąco, później pojawiło się w nich zdziwienie. - Skończył pan na dzisiaj? - Zwróciła się bezpośrednio do starszego policjanta, mężczyzny o kamiennej twarzy i stalowym wzroku. - W takim razie gdyby odwiózł mnie pan łaskawie do najbliższego szpitala, nie tracilibyśmy więcej czasu.

Czyżby była przyzwyczajona do dyrygowania ludźmi w ten sposób? Zastanawiała się nad tym przez moment, zanim wstała na chwiejnych nogach z kanapy. Nie poczuła się nieswojo, więc raczej tak. Była przerażona, chora i rozpaczliwie bezradna, ale Gerard wyraźnie nie chciał się angażować, a ona wolałaby paść trupem niż go prosić - będzie więc radzić sobie sama. Nagle coś jej podpowiedziało, że robi to od bardzo, bardzo dawna. Łzy nabiegły jej do oczu, ale powstrzymała je. Płakać będzie później.

- Posłuchaj. - Gerard podtrzymał ją, obejmując ramieniem w pasie. - Proszę, nie zrozum mnie źle. Mam ważne spotkanie, to wszystko. Ja...

- Dziękuję za pomoc. - Uwolniła się z jego uścisku i podała mu drżącą rękę. - Mam nadzieję, że się pan nie spóźni...

Kiedy znowu zapadała się w ciemność, usłyszała tylko, jak warknął po francusku coś, co zabrzmiało niewiarygodnie wulgarnie, a potem upadła i wszystko odpłynęło. Był tylko miękki, kojący mrok, znieczulający nadwerężone zmysły w otulinie nieświadomości.

Obudziła się w sterylnie białym pokoju, przesiąkniętym zapachem środków dezynfekujących, ze świadomością, że już kilka razy próbowała wydostać się z niedorzecznego świata wirujących obrazów i obcych głosów, które tłumił jedynie przejmujący, uporczywy ból głowy. Ale teraz nic ją nie bolało. Przesunęła lekko głowę na twardej poduszce i w tej samej chwili gorący prąd przeszył jej mózg. Jasne, nie bolało, kiedy leżała bez ruchu.

Na białej pościeli przy jej prawej ręce leżał dzwonek. Nacisnęła ostrożnie guzik, potem przeniosła wzrok na małe, wąskie okno w przeciwległym kącie pokoju. Szare światło sączące się przez żaluzje świadczyło o tym, że jest świt albo zmierzch - i wtedy uświadomiła sobie z niepokojem, że nie ma pojęcia, czy jedno, czy drugie. I że nie wie, gdzie jest. Ani - i dopiero ta myśl przyprawiła ją o łomot serca - kim jest. Zamknęła szybko oczy, modląc się o spokój. Pamiętała swój upadek, to, że uderzyła głową w nierówny, wyszczerbiony krawężnik. Pamiętała, że ktoś udzielił jej pomocy i znalazła się w chłodnym, ciemnym pokoju. Pamiętała... Wstrzymała na chwilę oddech. Tak, pamiętała Gerarda Dumonta. I raptem, jakby przywołała go myślami, usłyszała skrzypnięcie drzwi, otworzyła oczy i zobaczyła go, a za nim drobną pielęgniarkę.

- Ach, obudziłaś się. Doktor uważał, że kilka godzin snu postawi cię na nogi.

Ten czarujący uśmiech też pamiętała. Uniósłszy lekko tułów, rozejrzała się po pokoju, przekonując się z ulgą, że jeśli porusza się wolno, jej głowa znosi to całkiem dobrze.

- Jestem w szpitalu?

- Od wczoraj, ale chyba nie ma potrzeby, byś zostawała tu dłużej - powiedział opanowanym głosem. - W każdym razie nie zaczynaj wyobrażać sobie najgorszego. Masz wstrząs mózgu i... - przerwał gwałtownie.

- I? - Pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo do akcji wkroczyła pielęgniarka, z termometrem i aparatem do mierzenia ciśnienia.

Gerard oparł się o ścianę, skrzyżował ręce i przyglądał się Kit spod przymrużonych powiek. Z każdą sekundą jego obecność stawała się dla niej coraz bardziej krępująca. Poczuła, że

pieką ją policzki, i zaczynała mieć tego dosyć. Do diabła, to był pokój szpitalny, a nie poczekalnia! Nawet się nie znali, poza tym wczoraj chciał się jej pozbyć.

- Gerardzie - zaczęła uprzejmym tonem, gdy tylko pielęgniarka wyjęła z jej ust termometr - jestem ci wdzięczna za pomoc, ale może byłoby lepiej, gdybyś już sobie poszedł? Nie chciałabym ci zajmować więcej czasu. Czuję się dobrze i jestem w szpitalu, wszystko zostało załatwione, więc...

- Tak naprawdę, w prywatnym domu opieki medycznej - poprawił ją, odsuwając się od ściany, z uśmiechem i skinieniem głowy skierowanym do wychodzącej pielęgniarki. Leniwym krokiem podszedł do łóżka. - I ponieważ ja płacę rachunek, nie przewiduję żadnych kłopotów.

Przeszył ją lekki dreszcz, gdy zdała sobie sprawę, że on dokładnie wie, jakie ta wiadomość zrobiła na niej wrażenie.

- Ty... ? - Wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem. - Ale dlaczego? Chyba są tutaj normalne szpitale? Chodzi mi o to, czy...

- Wiem, o co ci chodzi. - Uśmiechnął się, ale nie było w tym zdawkowym grymasie ust ani odrobiny ciepła. - Dlatego zanim poniesie cię wyobraźnia, chciałbym cię zapewnić, że nie mam zakusów na twoje ciało. - W lodowatym wzroku, jakim przebiegł po jej szczupłej sylwetce, było coś niemal pogardliwego. - Wolę kobiety bardziej zaokrąglone i zdecydowanie bardziej uległe.

Jasne, pomyślała z dziką furią. Nie musiałeś mi tego mówić. I dobrze, że wiesz, że ty mi się też wcale nie podobasz!

- Jednak to ty mnie poprosiłaś o opiekę, zanim zemdlałaś u moich stóp, a ja zrobiłem dokładnie to, co do mnie należało, więc proszę, nie unoś się bez powodu. Poza tym szpitale w tym kraju nie są tym, do czego przywykłaś w... Anglii? Mam rację? Jesteś Angielką?

- Tak sędzę. - Złość prawie z niej wyparowała, gdy przypomniała sobie o swojej rozpaczliwej sytuacji. -A wyglądam na Angielkę?

- W każdym calu - zapewnił ją poważnie. - Twoje zachowanie jest też typowo angielskie. Nie zabrzmiało to jak komplement, więc znowu wszystko w niej zawrzało.

- A co dokładnie masz na myśli?

- Chłód stali i nieprzystępność - powiedział aksamitnym głosem, wyraźnie rozbawiony jej urażoną miną. - Nie podoba ci się ta charakterystyka?

- Jakoś to przeżyję - odparowała krótko i nagle poczuła się głupio z powodu swojej niewdzięczności. Z drugiej strony... nie wierzyła mu ani trochę. Dlaczego zupełnie obcy

człowiek miałby płacić za jej pobyt w prywatnym szpitalu? Coś tu nie grało, była o tym przekonana. Albo... Może w ogóle nie ufała ludziom, a mężczyznom w szczególności? Owładnął ją dziki strach. - Jest tu gdzieś lustro? - spytała cicho.

- Wyglądasz świetnie...

- Nie obchodzi mnie, jak wyglądam - przerwała mu ostro. - Chcę zobaczyć... kim jestem - dokończyła z grymasem bólu na twarzy.

- Rozumiem - powiedział łagodnym, wyrozumiałym tonem. - Poproszę pielęgniarkę, żeby zaprowadziła cię do łazienki, na wypadek gdybyś poczuła się trochę gorzej. - Zatrzymał się przy drzwiach, odwrócił głowę i poczekał, aż Kit spojrzy mu w oczy. - Nie martw się tym, maleńka, niedługo wszystko sobie przypomnisz. Policja prowadzi dochodzenie, no i ktoś przecież zauważył twoje zniknięcie.

- A może jestem tu sama? Może wynajęłam jakieś mieszkanie? Może mam dziecko, które na mnie czeka, psa... Nie wiem. Wszystko jest możliwe, prawda?

- Tak. Ale jeśli zbyt usilnie będziesz próbowała sobie przypomnieć, to może być ci jeszcze trudniej.

- Łatwo ci mówić - powiedziała ze ściśniętym gardłem. - Nie jesteś mną, prawda? Swoją drogą, nie przypuszczam, żeby coś takiego mogło się przydarzyć mężczyźnie - dodała gorzko.

- Sądzisz, że mężczyźni nigdy nie bywają ofiarami napadów?

- Może i bywają, nie o to chodzi. Ale wy na ogół wiecie, kim jesteście, robicie swoje, widzicie wszystko z własnej perspektywy. A kobiety są tylko dodatkiem do męskiego ego. I tyle... - Głos jej zamarł, kiedy zdała sobie sprawę, co powiedziała. Skąd jej to przyszło do głowy? Dlaczego tak się czuła? Wydało jej się, że jakiś wielki ciemny kształt wyłania się z otchłani jej niepamięci. Zaciśnęła mocno powieki. Musiała sobie przypomnieć.

- Zawołam pielęgniarkę.

Nie spojrzała na niego, dopiero, kiedy zamknął za sobą drzwi, powoli otworzyła oczy i opadła na poduszkę. To był istny koszmar, i to taki, z którego nie mogła się obudzić. Była zdana na łaskę losu, słaba, bezbronna... Serce zaczęło jej łomotać jak oszalałe i kiedy pielęgniarka weszła do pokoju, miała ochotę ją ucałować - tak bardzo się ucieszyła, że nie zostanie sam na sam z potworami rodzącymi się w jej umyśle.

Opierając się na ramieniu pielęgniarki, całkiem pewnie przeszła do łazienki. Zdołała przekonać młodą filigranową Marokankę, że poradzi sobie sama, i obiecawszy dwukrotnie, że nie zamknie się od wewnątrz, podeszła do wiszącego nad umywalką lustro i spojrzała na siebie, wstrzymując oddech.

Zobaczyła wielkie, szare oczy w ciemnej oprawie rzęs, mały, prosty nos, wydatne usta. Więc tak wyglądają Angielki? Miała jasną cerę i krótko obcięte kasztanowe włosy, delikatne rysy twarzy i lekko zadartą brodę. Pomyślała sobie, że to zupełnie atrakcyjna całość, chociaż konkursu piękności na pewno by nie wygrała. I nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Ta obca twarz mogła należeć do kogokolwiek. Co teraz? Usiadła na sedesie, ścisnęła dłońmi skronie i usiłowała zebrać myśli. Była sama w obcym kraju... a przynajmniej zdawało jej się, że to obcy kraj. Zakładała, że tu mieszka. Chyba policja dowie się czegoś wkrótce? Przecież to jakiś horror. I ten mężczyzna, Gerard Dumont. Dlaczego coś jej mówiło, że powinna się go pozbyć przy najbliższej sposobności? Czy mogła ufać swojemu instynktowi? To w końcu jedyne, co jej pozostało.

Kiedy wróciła z pielęgniarką do pokoju, czekał już na nią. Zachowywał się swobodnie i naturalnie, ale peszył ją swoim przenikliwym wzrokiem.

- Dzwoniła policja - powiedział, gdy Kit położyła się z powrotem do łóżka. - Niestety, na razie nie mają się czym pochwalić. Wygląda na to, że jesteś bardzo tajemniczą dziewczyną. Za kilka minut zbada cię lekarz i jeśli wszystko jest tak, jak przypuszczał, będziesz mogła stąd wyjść jeszcze dzisiaj.

- Wyjść... ale dokąd? - spytała cichym głosem, próbując zebrać myśli.

Czy jest tu gdzieś blisko brytyjska ambasada? Ale przecież wcale nie była pewna, czy jest Angielką.

- Mam pewien pomysł - zaczął wolno, z zimnym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Ale może byłoby lepiej, gdybyś najpierw zjadła śniadanie i...

- Cokolwiek masz mi do powiedzenia, wołałabym to usłyszeć teraz - powiedziała stanowczo, unosząc dumnie brodę.

- Jak sobie życzysz. - Wstał raptownie ze stołka, podszedł do maleńkiego okna i uchylił żaluzje, wpuszczając do surowego szpitalnego pokoju odrobinę słońca. - Uważam, że byłoby rozsądnie, gdybyś została w Maroku do czasu, kiedy albo odzyskasz pamięć, albo policja ustali, kim jesteś. Chyba przyznasz mi rację?

- Chyba tak - odpowiedziała niepewnie. - I... ?

- Byłby z tym jeden problem, w każdym razie niewygodna sytuacja, bo z tego, co wiem, nie masz pieniędzy, prawda?

- Wiesz, że nie mam. - Spojrzała mu hardo w oczy.

- Ale zapewniam cię, że gdy to wszystko się wyjaśni, zwrócę ci co do pensa...

- Nie bądź śmieszna! - przerwał jej z furią w głosie.

- Pieniądze są tu najmniej istotne i jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę. Stwierdzam po prostu fakt.

- No więc stwierdziłeś fakt, a ja dalej nie rozumiem...

- Proponuję, żebyś została moim gościem, do czasu kiedy wydobrzejesz i będziesz w stanie zająć się własnymi sprawami. Tak będzie najpraktyczniej. W moim domu w Marrakeszu jest sporo gościnnych pokoi, a ja jestem na tyle znaną osobą w świecie biznesu, że policja byłaby szczęśliwa, mogąc...

- Chyba żartujesz! - Po dobrych manierach i dyplomacji nie zostało nawet wspomnienie, kiedy Kit podskoczyła na łóżku jak mała lwica. - Czy ty myślisz, że ja się wczoraj urodziłam?! Bierzesz mnie za idiotkę? To o to w tym wszystkim chodziło! Prywatny pokój, luksusowa opieka i tak dalej! Jeżeli myślisz, że odpłacę ci się za poniesione koszty w naturze, zapomnij o tym! Znam takie typy... wierz mi, nie jesteś wyjątkowy! Wolałabym spędzić kilka dni, tygodni albo miesięcy w więziennej celi niż skorzystać z twojej propozycji. Myślisz, że kim ja jestem, co...?

- Myślę, że jesteś bardzo nierozgarniętą młodą kobietą. - Lodowaty głos przeciął jej furiacki wybuch jak ostrzem miecza. - Źle wychowaną, grubiańską, śmieszoną... Ciągnąć dalej? - Był wściekły, aż trudno uwierzyć, jak bardzo wściekły. - Poważnie sądzisz, że aż tak mi brakuje damskiego towarzystwa, żebym musiał zwabiać do domu przypadkowo poznane kobiety? - Nie krzyczał mówił głosem bardzo opanowanym i niesłychanie kąśliwym. - Jeśli mam być brutalnie szczerzy, nie jesteś dla mnie atrakcyjna seksualnie. Moja propozycja była normalnym odruchem przyjaźni wobec człowieka, który znalazł się w potrzebie. To wszystko. To wszystko. - Nie odrywając od niej oczu, nabrał głęboko powietrza. - Skoro wyjaśniłaś mi dokładnie, co czujesz, więc...

Nie dokończył, bo w tym momencie Kit puściły nerwy. Potok łez i poczucie absolutnej pustki sprawiły, że nagle oślepla i ogłuchła na wszystko, co nie było jej własnym nieszczęściem. Z twarzą ukrytą w dłoniach, wstrząsana spazmami, słyszała swoje zawodzenie, ale nie była w stanie tego powstrzymać.

- *Mon Dieu...* - wyszeptał przez zaciśnięte zęby, ale chwilę później trzymał ją na kolanach, tuląc w ramionach i kołysząc jak zrozpaczone dziecko, pocieszając niskim, kojącym głosem, szepcząc po francusku czułości, z których nie rozumiała ani słowa, ale znalazła w nich chwilową ulgę.

Nic jednak nie mogło uwolnić jej od panicznego strachu. Przerażała ją myśl, że nigdy nie przypomni sobie, kim jest, że zostanie na zawsze w tym dziwnym, obcym niby świecie, w którym nawet jej własna twarz była twarzą obcej kobiety; bez wspomnień, bez przeszłości,

zdana jedynie na pustą, niepewną przyszłość.

ROZDZIAŁ DRUGI

W pewnym momencie zamiast ulgi poczuła zakłopotanie spowodowane zbytnią bliskością Gerarda Dumonta. Może miało to coś wspólnego z jego ciepłym męskim zapachem, kompozycją ostrej wody kolońskiej z delikatnym aromatem cytryny, a może z dźwiękiem jego głosu, głębokim i kuszącym. Cały czas szeptał kojące słowa w swoim ojczystym języku. Cokolwiek to było, kiedy minął atak płaczu, poczuła się nieswojo i znowu ogarnął ją dziwny lęk. Obok strachu pojawiło się jeszcze inne, nieznanne uczucie, coś, co spowodowało mrowienie skóry i bolesny skurcz żołądka.

- Przepraszam - powiedziała cicho i zsunęła się z jego kolan.

- Czy wiesz, albo czy chociaż się domyślasz, skąd się u ciebie wzięła ta wrogość? - spytał łagodnie, kiedy z powrotem ułożyła się w łóżku. - Co takiego zrobili ci mężczyźni, że czujesz się przez nich zagrożona?

- Zagrożona? - Patrzyła na niego z przerażeniem w oczach, nie mogąc uwierzyć, że tak łatwo ją rozszyfrował. - Nie czuję się zagrożona...

- Wiesz, że mam rację. Ale dajmy temu spokój. Włóż do łóżka. Za chwilę pielęgniarka przyniesie ci śniadanie.

- Nie czuję się zagrożona - powtórzyła z uporem, lekceważąc jego polecenie. - To wszystko mnie po prostu rozstroiło, potrafisz to chyba zrozumieć?

- Powiedziałem ci, że lekarz stwierdził wstrząs mózgu? Bez wątpienia wtórnym powikłaniem urazu jest amnezja. Jednak... - Jeszcze raz wskazał jej ręką łóżko, a kiedy znowu nie zareagowała, zacisnął wymownie usta. - Jednak obrażenie głowy nie było aż tak poważne, żeby mogło usprawiedliwiać utrzymujący się zanik pamięci.

- Chcesz mi powiedzieć, że udaję? - zapytała z wściekłym błyskiem w oczach. - Zapewniam cię...

- Oczywiście nic podobnego nie miałem na myśli -przerwał jej ostro. - I proszę cię, żebyś zapakowała się wreszcie do tego cholernego łóżka. Nie mam zamiaru jeszcze raz zbierać cię z podłogi, a wyglądasz jak śmierć na chorągwi.

- Dziękuję bardzo - syknęła i chyba tylko dzięki wrzącej w niej furii pokonała na drżących nogach drogę do łóżka.

- Posłuchaj, zdaniem lekarza jest coś, co powoduje, że twoja psychika broni się przed powrotem do przeszłości. Coś, o czym nie chcesz pamiętać, coś, co sprawiłoby ci wielki ból...

- Teraz to ty jesteś śmieszny - powiedziała bez przekonania, bo nagle jakiś mroczny cień

pojawił się w jej i okaleczonej świadomości, przejął grozą i natychmiast zniknął. - Miałam wypadek, zostałam napadnięta...

- Oczywiście - przytaknął cierpliwie - i ten wypadek pozwolił ci właśnie podświadomie uciec w niepamięć.

- Uważasz, że jestem niezrównowazona, o to chodzi? - Patrzyła na niego z wyzwaniem w oczach, o wiele bardziej wstrząśnięta, niż gotowa była się do tego przyznać.

- *Mon Dieu...* - Niewinne westchnienie zabrzmiało jak przekleństwo. - Nigdy nie spotkałem tak trudnej, nieznośnej...

- Więc gdzie jest ten genialny doktor, który, nie rozmawiając nawet ze mną, postawił tak dogłębną diagnozę? - spytała ze złością. - Zobaczę się z nim czy nie?

- Po śniadaniu. - W tej samej chwili weszła pielęgniarka z tacą, zerknęła ciekawie na jedną gniewną twarz, potem na drugą, ale natychmiast taktownie opuściła wzrok. - Zjem z tobą, jeśli pozwolisz.

- Dobrze, w końcu to ty płacisz. - Natychmiast pożałowała swojej grubiańskiej odzywki i z miną nieszczęśliwego dziecka spojrzała mu w twarz. - Przepraszam, jestem okropna, to wszystko przez...

- Jedz - powiedział stanowczo, ale bez cienia złości.

- Ale ja nie jestem głodna, nie mogę...

- Zjesz. Wybieraj: albo sama, albo nakarmię cię na siłę.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale wyczytała z jego zmrużonych oczu, że tej bitwy nie wygra, choćby się bardzo upierała. Jęknęła żałośnie, poddając się bez walki, a kiedy ugryzła pierwszy kęs ciepłego, chrupiącego rogalika, odkryła, że jednak jest głodna.

Jedli w milczeniu. Gerard nie odzywał się, dopóki nie zaczęła pić drugiej filiżanki kawy, a kiedy nagle odezwał się, Kit podskoczyła tak gwałtownie, że co najmniej połowa gorącego płynu wylała się na białą pościel.

- Podjęłaś decyzję?

- Decyzję? - Zamrugnęła nerwowo, wiedząc dokładnie, o co pyta, ale grała na czas, rozpaczliwie usiłując znaleźć wyjście z sytuacji, która zdawała się bez wyjścia.

- Tak, decyzję. I nie obrażaj mojej inteligencji pytaniem, w jakiej sprawie. Tego bym chyba nie zniósł. Muszę zaraz wyjść. Mam spotkanie o dziewiątej.

- Więc dobrze... - Podniosła rękę, żeby odgarnąć z czoła kosmyk włosów, i wtedy zdała sobie sprawę, że drży jej dłoń. Poczuli się podwójnie upokorzona, kiedy zobaczyła, że Gerard również to zauważył.

- Czy budzę w tobie aż takie przerażenie? - W wyrazie jego twarzy nie było śladu kpiny ani rozbawienia.

- Nie chciałbym, żeby tak było. Przypominasz mi ptaszka ze złamanym skrzydłem, którego znalazłem przy drodze kilka miesięcy temu. Kiedy go podniosłem, ze strachu uduziobał mnie kilka razy, a potem...

Spojrzała na niego, kiedy zawiesił głos, zafascynowana myślą, że ten olbrzymi mężczyzna mógł przejąć się czymś tak małym i nic nie znaczącym jak zraniony ptak.

- A potem? - spytała cicho.

- Przestało bić mu serce. Gdyby się trochę uspokoił, zaufał mi trochę, byłbym w stanie mu pomóc. - Widział, jak przygryza nerwowo wargi, i uśmiechnął się pobłaźliwie. - I tylko takie mam zamiary wobec tego ptaszka. Pomóc mu wyjść z kłopotów. Ale... - Podeszedł do drzwi, otworzył je cicho i odwrócił się do niej, nie zdejmując ręki z mosiężnej klamki. - Jeśli nie chcesz zatrzymać się w moim domu, nie

musisz. To oczywiste. Niedługo przyjdzie lekarz, a ja wrócę tu w porze lunchu i wtedy mi powiesz, co postanowiłaś. Jeśli zdecydujesz się skorzystać z mojej gościnności, bądź gotowa do wyjazdu. Jeśli nie... - wzruszył niebale ramionami - możesz tu zostać, dopóki nie załatwisz swoich spraw. I jeszcze jedno. W Marrakeszu mieszka ze mną siostra, która z przyjemnością będzie ci służyć za przyzwoitkę. - Na pożegnanie Gerard zmarszczył kpiąco brwi. - Co nie znaczy, że będziesz jej potrzebowała.

Patrzyła przez chwilę na zamknięte drzwi, potem opadła na poduszkę, czując jednocześnie ulgę i rozczarowanie. „Co nie znaczy, że będziesz jej potrzebowała”. Postawił sprawę jasno: nie wydawała mu się w najmniejszym stopniu atrakcyjna. I dobrze. Bardzo dobrze. Doskonale sobie wyobrażała kobiety w jego guście: zmysłowe, seksowne, potrafiące robić użytek ze swoich pięknych ciał. Wielki biust, rozłożyste biodra, wydęte usta... Ten wymyślony portret przywołał z jej podświadomości jakąś zjawę, postać, którą na próżno usiłowała wydobyć z czarnej otchłani, żeby przyjrzeć się jej bliżej. Znikła równie szybko, jak się pojawiła. Kit, błada z wysiłku, rozejrzała się błędnym wzrokiem po małym pokoju. Kto wie, może miała rację, pytając Gerarda, czy uważają za osobę niezrównoważoną. To, co się z nią działo, na pewno nie było normalne. Jęknąwszy cicho, odwróciła się na bok, gotowa czekać spokojnie na pojawienie się wszystkowiedzącego doktora. Zrozumiała jedno: nie ma mowy, choćby się miało palić i walić, żeby opuściła to miejsce w towarzystwie Gerarda Dumonta.

Wyszli ze szpitala o wpół do czwartej po południu i po względnie chłodzie panującym w klimatyzowanym budynku spiekota na zewnątrz zdawała się nie do wytrzymania.

- Jak się czujesz? - spytał troskliwie Gerard, kiedy podeszli do jego czarnego sportowego

samochoду.

- Dobrze. - Oczywiście, nie czuła się dobrze. Upał upałem, ale najgorsze okazało się przeraźliwie ostre światło, które przyprawiało ją o mdłości i nieznośny ból głowy. Ale i to nie było głównym powodem zadyszki, gwałtownego bicia serca i skurczu żołądka. To on na nią tak działał. Ten silny, niewiarygodnie męski typ u jej boku, w którym wszystko, dosłownie wszystko, było niebezpiecznie pociągające. Dlaczego zgodziła się z nim wyjechać? Zadała sobie to pytanie, kiedy wsiadła do jego pięknego auta, ściskając dłońmi kolana, jakby chciała ukryć ich drżenie. Broniła się przed tym do ostatniej chwili. Ale jakoś... tak się jakoś stało, że rozwiązał jej obawy chłodnymi, logicznymi argumentami i przyjaznym podejściem, które ją

uspokoilo - choć nadal się zastanawiała, czy jego intencje

są czyste i szczerze. Rozmowa z jego siostrą również nie była bez znaczenia.

- Dlaczego poprosiłaś Colette, żeby do mnie zadzwoniła? - spytała podejrzliwie, kiedy usiadł za kierownicą. - Myślę...

- Wiem, co myślisz - zaśmiał się, uruchamiając silnik. - I masz rację, częściowo... Pomyślałaś, że wykorzystałem ją do tego, żeby przeprowadzić swój zamiar?

Nie odpowiedziała. Patrzyła w jego drwiące oczy, zastanawiając się, czy jeszcze nie jest za późno na ucieczkę.

- Więc może tak zrobiłem, ale wyłącznie dla twojego dobra, i chciałbym, żebyś to wreszcie zrozumiała. To jest obcy kraj, w każdym razie zakładamy, że dla ciebie to obcy kraj, dopóki nie okaże się, że jest inaczej. A ty jesteś teraz ptakiem ze złamanym skrzydłem, choćby nie wiem jak bardzo to porównanie cię oburzało. Co znaczy, że czyhają na ciebie wszystkie możliwe niebezpieczeństwa. Czy wiesz, że dla wielu tutejszych mężczyzn byłabyś warta królewskiego okupu?

- Co? - Przez moment nie wierzyła własnym uszom.

- Zapewniam cię, że wiem, co mówię. - Przyglądał się posępnym wzrokiem jej kasztanowym włosom i alabastrowej cerze. - Ze swoją angielską urodą i tą dziewczęcą świeżością nie uchowałybyś się nawet kilka dni. - Widząc zdumienie w jej oczach, zdjął ręce z kierownicy i ciężko westchnął. - Nie wierzysz mi, prawda? Już samo to przekonuje mnie, że miałem rację. Jagnię wśród wilków...

Czyżby chciał ją uprzedzić, że w każdej chwili może ją sprzedać jakiemuś szejkowi albo handlarzowi białych niewolników? O to chodziło? Patrzyła na niego oniemiała, nie zdając sobie sprawy, że ma przerażenie w oczach. Gerard miał oficjalne pozwolenie policji na umieszczenie jej w swoim domu. Wiedzieli, jak się z nią skontaktować. Wiele osób wiedziało.

Na pewno nie działałby w ten sposób, gdyby planował...

- Colette istnieje - powiedział drętwym głosem, czytając w jej myślach. - Mój dom istnieje. Jestem całkowicie normalnym człowiekiem i nie przespałbym spokojnie nocy, gdybym zostawił cię na pastwę losu w tym obcym dla ciebie świecie. Czy rozmowa z Colette nie uspokoiła cię?

- Colette? - spytała nieprzytomnie, usiłując zebrać myśli. - Tak, oczywiście.

- Ona jest w twoim wieku. Na pewno będziecie miały o czym rozmawiać i w końcu coś ci się przypomni, jeden przebłysk może spowodować, że klapka się otworzy, rozumiesz? - Położył swoją wielką dłoń na jej ramieniu. - Teraz pojedziemy na małe lądowisko za miastem, gdzie czeka na nas samolot. To niedaleko.

- Twój samolot? - Siłą woli nie poruszyła się, kiedy jej dotknął, ale teraz była bliska hysterii.

To nie dzieje się naprawdę, myślała gorączkowo, to po prostu niemożliwe. Kiedy Gerard wyjeżdżał z parkingu, postanowiła jednak wziąć się w garść i zapanować nad emocjami. Rano zrobiła niezależne dochodzenie. Zadała kilka pytań policji i zadziwiająco miłemu doktorowi, który poświęcił jej sporo czasu, próbując najróżniejszymi metodami wydobyć z niej coś, choćby najdrobniejszy szczegół z przeszłości. Bezskutecznie.

Dowiedziała się, że Gerard Dumont jest powszechnie znanym i szanowanym biznesmenem, właścicielem kilku firm w Casablance, Essaurze i Marrakeszu, zajmujących się przetwórstwem ryb i owoców. Posiada także własną flotę handlową i rezydencję w każdym z tych trzech miast. Jej informatorzy podkreślali, że jest nie tylko bajecznie zamożnym, ale i niezwykle zasłużonym obywatelem kraju, do którego przybyli jego rodzice, zanim przyszedł na świat, i - jak jej zgodnie doniesiono - wzorem wszelkich cnót. Z wyjątkiem... Przypomniała sobie wahanie na twarzy doktora, kiedy spytała, czy Gerard jest żonaty lub związany z jakąś kobietą.

- Z jakąś konkretną kobietą, nie... - Uśmiechnął się niewyraźnie po długiej chwili milczenia. - Jest to jednak młody mężczyzna, w kwiecie wieku, i dlatego mogą mu zdarzać się różne historie...

- Jakie historie? - podchwyciła nerwowo, ale doktor, godny starszy pan, nie pozwolił sobie na plotkowanie o tak znamienitej osobistości, zręcznie zbywając jej kolejne pytania, aż w końcu musiała się poddać.

Powiedział jej, że rodzice Gerarda nie żyją od wielu lat, że jego siostra jest zaręczona z Marokańczykiem francuskiego pochodzenia, z bardzo dobrego domu, i że jeśli Kit przyjmie

zaproszenie Gerarda, które - doktor nie mógł tego dobitniej wyrazić - było dowodem jego niezwykłej hojności i dobroci, będzie traktowana z wielkim szacunkiem i życzliwością, należnymi gościowi tak wyjątkowego człowieka.

Rozmowa telefoniczna z Colette ostatecznie ją przekonała. Siostra Gerarda była wyjątkowo serdeczna, naturalna i naprawdę szczerze przejęta jej kłopotami. Wszystko zdawało się wyjaśnione... dopóki znowu nie zobaczyła jego. Wątpliwości i lęki powróciły z nową siłą.

- Ty mnie nie bardzo lubisz, maleńka, prawda?

Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie, a nie pytanie. Zerknąwszy na jego surowy profil, zdecydowała, że milczenie będzie w tej sytuacji najlepszym wyjściem. Swoją drogą, nie miała nic do powiedzenia. Nie lubiła go. Samą swoją obecnością działał jej na nerwy, choć wciąż sobie powtarzała, że to szczyt niewdzięczności, bo przecież był dla niej bardzo życzliwy. Jednak ten jego wzrost, ta potężna męska sylwetka, ta jego arogancja i poczucie całkowitej kontroli nad wszystkim i nad wszystkimi dookoła... To budziło w niej niepokój. Niepokój i strach... Musiała natychmiast przestać o tym myśleć. Nie ufała mu. Ani na jotę. Nie wiedziała dlaczego, i prawdopodobnie nie istniała obiektywna przyczyna jej uprzedzenia, ale było ono faktem.

Odwróciła jeszcze raz głowę i zobaczyła na jego twarzy cyniczny, drwiący uśmiech. To też doprowadzało ją do szału.

- Z przyjemnością się dowiem, kim jesteś, kotku o ostrych pazurkach - powiedział miękko po kilku kilo metrach jazdy spędzonej w kompletnym milczeniu. - Cenię w ludziach uczciwość, a tobie jej nie brakuje.

- Naprawdę?

- Naprawdę - przytaknął z nutą rozbawienia w głosie. - Nie jestem takim diablem, na jakiego wyglądam, poza tym od dawna nie miałem okazji za takiego uchodzić, szczególnie w oczach kobiety. - Rzucił jej krótkie, ogniste spojrzenie. - Szczególnie tak pięknej kobiety.

- Mówiłeś, że ci się nie podobam - odparowała bez zastanowienia.

- Skłamałem.

Ze ściśniętym gardłem zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć, cokolwiek, co rozładowałoby napięcie, ale nic nie wymyśliła. Wyciągnięta w miękkim, skórzanym fotelu starała się skoncentrować na zmieniającym się pejzażu za oknem. A było co podziwiać.

W Maroku, z jego zróżnicowanym klimatem i rzeźbą terenu - od ciągnących się setki kilometrów surowych, spalonych słońcem równin i ruchomych wydm po żyzne płaskowyże i naturalne pastwiska dla kóz i owiec, wyższe partie gór porośnięte dębami, cedrami i sosnami,

z ośrodkami narciarskimi dla zamożnych turystów, ogromną ilością skalnych źródeł, jezior i stawów, a także strumieni obfitujących w pstrągi - najbardziej fascynująca w swojej różnorodności wydawała się mozaika ludności.

W każdym mieście można było spotkać biznesmenów w europejskich strojach, wmieszanych w tłum Berberów i Arabów - mężczyzn w długich galabijach i kobiet w szarych albo czarnych workowatych okryciach, czasami z zasłoniętą do połowy twarzą. I te pojazdy... Kit z szeroko otwartymi oczami przyglądała się gwarnej ulicy w starej części miasta. Wspaniałe auto sunęło dostojnie między zdezelowanymi taksówkami, obok wielbłądy, konie, osły, rowery i wszelkie inne możliwe środki transportu. Domy w pełnym słońcu były rażąco białe, ulice wysadzone drzewami pomarańczowymi, a cała architektura mauretańska wprost zachwycała swoim finezyjnym wdziękiem...

Westchnęła cicho i wcisnęła się z powrotem w wygodny fotel. Chwilowo miała dosyć wrażeń. Niemożliwe, żeby tu mieszkała; musiała być na wakacjach - to wszystko było dla niej zbyt nowe i ekscytujące. Wakacje? Ale wyjechała z powodu jakiejś kłótni, chyba chodziło o pierścionek...? Spojrzała na dłonie. Nie miała na palcach i żadnego pierścionka. Znowu ogarnęło ją koszarne, przyprawiające o mdłości uczucie strachu. I nagle rozplynęło się jak we mgle - i niewyraźne wspomnienie, i lęk.

- Co się stało? Przypomniałaś coś sobie?

Zorientowała się, że Gerard mówił do niej od pewnego czasu, ale nie słyszała ani słowa. Nie zauważyła też, kiedy wyjechali z miasta.

- Niezupełnie. - Zamknęła na chwilę oczy. - To trwało moment, uciekło, zanim mogłam znaleźć w tym jakiś sens. - Przepraszam, co mówiłaś?

- Pytałem, czy widziałaś kiedyś kozy chodzące po drzewach. Tutaj, spójrz.

Kiedy zatrzymał samochód, powiodła wzrokiem za jego palcem i zobaczyła gaj dziwnych drzew, z nisko zwisającymi konarami, porośniętymi zielonymi liśćmi i małymi owocami, które wyglądały jak oliwki. Dopiero po chwili dostrzegła na wyższych gałęziach kilka kóz skubiących zajadle i liście, i owoce.

- To są naprawdę kozy! - wykrzyknęła zdumiona.

- Najzwyklejsze - Gerard zaśmiał się ciepło i uruchomił silnik. - Ale arganii, nazywanych też drzewami żelaznymi, nie spotyka się nigdzie indziej na świecie. Kozy uwielbiają ich owoce. A nasiona... spójrz na ziemię, jest ich tu mnóstwo... zbiera się, miążdży i z ich pestek wytłacza się aromatyczny olej, używany w tutejszej kuchni.

Krótką przerwą w podróży rozładowała na jakiś czas napięcie. Bliskie sąsiedztwo potężnej

sylwetki Gerarda w zamkniętej przestrzeni samochodu wciąż działało na Kit deprymująco. Czy naprawdę uważał, że jest ładna? W ostatnim spojrzeniu, które jej posłał, zanim ruszył z pobocza, było coś, co sprawiło, że przez jej ciało przetoczyła się gorąca fala. Nie znosiła siebie za to, po prostu nie znosiła, chociaż nie rozumiała, z jakiego powodu. Swoją drogą, miała w głowie taki mętlik, że niczego nie rozumiała.

W kłębach piaszczystego pyłu dotarli do małego lądowiska, gdzie czekał na nich prywatny samolot Gerarda, i dopiero na pokładzie przyszło jej do głowy, żeby zapytać, gdzie leży Marrakesz. Od chwili kiedy obudziła się w szpitalu, wszystko wydawało jej się tak nierealne, tak mgliste, że wciąż z trudem przekonywała samą siebie, że to nie dzieje się we śnie.

- Marrakesz? Jest jednym z czterech królewskich miast Maroka, najbardziej afrykańskim. Leży u podnóża Wysokiego Atlasu, jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południe od Casablanki, na skrzyżowaniu licznych szlaków handlowych. Region jest dosyć suchy, ale wodę sprowadza się z gór i przechowuje w zbiornikach, więc z kąpielą nie będzie kłopotu. - Rzucił jej przelotne spojrzenie, mrużąc zagadkowo oczy.

Poczuła się, jakby ją rozebrał - i spłoniła jak nastolatka, gdy Gerard wymownym skrzywieniem ust dał jej do zrozumienia, że wie, o czym myśli.

- U nas w naturalny sposób stare współistnieje z nowym - ciągnął beznamiętnym głosem. - Nowoczesne rolnictwo, przemysł, edukacja, a z drugiej strony czwartkowy targ wielbłądów, jak przed wiekami, i targowisko na wielkim placu Djemaa el Fna, gdzie czarowaniem turystów zajmują się zaklinacze węży, żonglerzy, akrobaci, połykacze mieczy i ognia, treserzy małp, uzdrowiacze z jakimiś cudownymi miksturami i rozmaici bazarze. Zaprowadzę cię tam któregoś dnia, jak tylko oswoisz się z nowym miejscem. Jest kilka wspaniałych średniowiecznych pałaców, cudowne meczety, muzeum sztuki marokańskiej...

- Nie, nie ma potrzeby... - przerwała mu tak gwałtownie, że poczuła się w obowiązku wyjaśnienia swojej odmowy. - Ja... po prostu nie chcę ci sprawiać kłopotu, wystarczająco dużo dla mnie zrobiłeś. Zresztą pobędę u ciebie dzień albo dwa...

- Proszę, daruj sobie te tłumaczenia, nie musisz być taka delikatna. Colette będzie równie dobrym przewodnikiem.

- Nie o to chodzi...

- Doskonale wiem, o co ci chodzi. Nie tylko mnie nie lubisz, ale za grosz mi nie ufasz, więc dajmy temu spokój. Mam nadzieję, że trochę poprawi ci się nastrój, kiedy znajdziesz się w moim domu, ale, jak z wdziękiem pod kreśliłaś, sprawa wyjaśni się w najbliższych dniach, więc twoja opinia o mnie dla żadnego z nas nie ma większego znaczenia.

Zasłużyła na to. Zdawała sobie sprawę, że zasłużyła, ale jego lodowaty, obcesowy ton podział na nią jak płachta na byka.

- Przepraszam - powiedziała drżącym głosem. - Chociaż to kiepskie usprawiedliwienie, sama nie rozumiem, dlaczego tak reaguję, ale skoro wszystko zostało powiedziane... nie prosiłam, żebyś mnie ze sobą zabierał, prawda? Dlaczego nalegałeś?

- Żebym to ja do cholery wiedział!

- Więc zawróć po prostu samolot i odstaw mnie z powrotem do Casablanki... - zaczęła z furją i natychmiast uświadomiła sobie, co powiedziała. Do Casablanki? Skąd przysła jej do głowy Casablanca? Przecież wypadek zdarzył się w Essaurze...

- Do Casablanki - powtórzył z namysłem Gerard. -Może powinniśmy poprosić policję, żeby przede wszystkim tam poszukała jakiegoś śladu?

- Nie wiem. - Potrząsnęła bezradnie głową. I cała złość z niej opadła, kiedy spojrzała na swoje białe bawełniane spodnie i ciemnobezową bluzkę. Kiedyś, w innym życiu, wybrała te rzeczy, weszła do jakiegoś sklepu i kupiła to, co się jej spodobało. Jak mogła nie pamiętać?

- Zajmę się tym. - Rzucił jej krótkie, obojętne spojrzenie. - Naprawdę nie zamierzam zjeść cię żywcem, moja kolczasta różo, ale miej trochę litości i powściągnij swój temperament. Moja odporność psychiczna też ma swoje granice, jestem wrażliwym facetem.

- Przepraszam - mruknęła ze zwieszoną głową.

- Chyba już to mówiłaś.

Znów usłyszała drwinę w jego głosie i gniew okazał się silniejszy od poczucia winy. Wrażliwy facet? On? Śmiechu warte.

Wylądowali na peryferiach Marrakeszu, należących, jak się potem dowiedziała, do posiadłości Gerarda. Kiedy wprowadzał samolot do hangaru, zauważyła zaparkowane w odległym kącie auto - piękne ferrari testarossa.

- To twój samochód? - spytała najbardziej obojętnym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

- Tak. Podoba ci się?

- Bardzo ładny.

Zmarszczył brwi i przez chwilę mierzył ją ostrym, ironicznym wzrokiem.

- Nie wiem dlaczego - mówił wolno, przeciągając sylaby - ale mam wrażenie, że gdyby ten samochód należał do kogoś innego, przyznałabyś szczerze, że jest wyjątkowo piękny.

- Powiedziałam, że mi się podoba - zaprotestowała nieśmiało - ale samochód jest tylko samochodem. Zabawką dla dorosłych dzieci.

- Zabawką? - Gdy ucichł silnik samolotu, zamknął na chwilę oczy, potem odwrócił się do

niej z krzywym uśmiechem. - Dobrze sobie. Na taką zabawkę czeka się około sześciu lat.

Nie zauważyła stojącego gdzieś z boku mężczyzny, dopiero kiedy wyszli z samolotu, zobaczyła, że wrota hangaru zamykają się, a po chwili podbiegł do nich niski Arab w średnim wieku.

- Assad... - Mężczyźni przywitali się wylewnie, potem Gerard odwrócił się do niej, uśmiechnięty i odprężony. - To jest Assad, mój wielki przyjaciel, człowiek, który zna się na wszystkim. Nie mogłaś go wtedy zauważyć, ale to on wchodził do siedziby mojej firmy, kiedy zostałaś napadnięta. Wszystko widział, ale to stało się tak błyskawicznie, że nie zdążył przyjść ci z pomocą. Mówi po francusku, hiszpańsku i arabsku, gorzej niestety z angielskim. Właściwie żadna z osób pracujących w moim domu nie zna twojego języka.

- Trudno. - Przyglądała im się pogodnie, czując, jak opada z niej całe napięcie i rozdrażnienie. Kiedy kątem oka zerknęła jeszcze raz na ferrari, umknął jej uwagi pobłażliwy uśmiech Gerarda.

- Dom jest niedaleko, ale poprosiłem Assada, żeby przyprowadził samochód, na wypadek gdybyś była zmęczona. Jedziemy? Assad zajmie się jeszcze samolotem i wróci na piechotę.

W drodze do samochodu Kit poczuła, że naprawdę jest zmęczona. Nie miała nawet siły mówić. Kiedy Gerard otworzył drzwi, weszła posłusznie do środka i mruknęła ciche „dziękuję”.

- Potrzebna ci gorąca kąpiel i dużo snu – powiedział łagodnie, wyjeżdżając z hangaru. - W Del Mahari ani jedno, ani drugie nie będzie problemem. Tak się nazywa mój dom - dodał, uprzedzając jej pytanie.

- Del Mahari - powtórzyła słabym głosem. - Ładnie.

- To znaczy „biegnący wielbłąd”. Mój ojciec uwielbiał wyścigi wielbłądów, ale ja, prawdę mówiąc, wolę hodować konie. Wielbłądy są strasznie narowiste, chociaż ta przywara dotyczy oczywiście nie tylko tych garbatych zwierząt.

Kit pojęła niewybredną aluzję, ale, kompletnie wyczerpana, spojrzała tylko na niego, rezygnując z odwetu.

- Mam w tej chwili kilka doskonale ułożonych koni, popularnej w Maroku mieszanej rasy arabsko-berberyjskiej. Są bardzo szybkie i ambitne. Jeździsz może konno?

- Tak, oczywiście... - odpowiedziała odruchowo, bez zastanowienia, i dopiero po chwili zdała sobie z tego sprawę. - Tak, umiem jeździć konno - powtórzyła bardziej stanowczo. - Nie wiem, skąd to wiem, ale tak jest.

- To dobrze. Jesteśmy prawie na miejscu.

Drzewa, głównie pomarańczowe, które widziała z oddali, otaczały szpalerem bardzo wysoki różowy mur. Olbrzymia brama z kutego żelaza była otwarta na oścież, ale Gerard zatrzymał przed nią samochód i zgasił silnik. Powoli odwrócił się do Kit, a kiedy na niego spojrzała, musnął palcem jej twarz.

- Witaj w moim domu, maleńka - szepnął czule i pocałował ją w usta.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdyby ktoś wylał Kit na głowę kubek lodowatej wody, nie zareagowałaby gwałtowniej. Zdrętwiała na ułamek sekundy, kiedy poczuła na ustach jego ciepłe, zmysłowe wargi, oszołomiona jego zapachem, zamknęła mimowolnie oczy, i nagle cofnęła się tak raptownie, że z głośnym hukiem uderzyła głową o szybę.

- Co z tobą? - Gerard wyglądał na równie zaszokowanego jak ona. - Dziewczyno, ja cię tylko pocałowałem. O co ty mnie, do diabła, podejrzewasz?

- Ja... Nie wiem. Nie wiem, przepraszam... - Wiedziała, że jeśli nie weźmie się w garść, zupełnie się rozklei. Nabrała głęboko powietrza i spojrzała mu odważnie w oczy. - Ale nie spodziewałam się tego po tobie. Wydawało mi się, że jestem twoim gościem...

- To był zwykły pocałunek na powitanie. Ani więcej, ani mniej. - W jego oczach pojawiły się gniewne błyski.

- Przepraszam. - Czują się okropnie i nic innego nie przychodziło jej do głowy poza słowem „przepraszam”.

- Może spróbujemy jeszcze raz?

To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Wpatrywała się w niego wielkimi oczami w kolorze gołębiej szarości, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- Jeden pocałunek, nic więcej - szepnął czule. – Nie skrzywdzę cię.

Zadrzała, kiedy musnął wargami jej zaciśnięte usta, krew napłynęła jej do twarzy i usłyszała bicie własnego serca. Westchnęła bezsilnie, a on przyciągnął ją mocno do siebie i zaczął całować namiętnie, nie dając jej czasu na wahanie. Pocałunek? To miał być pocałunek? Gdyby ktoś kiedykolwiek całował ją w ten sposób, pamiętałaby. Była tego pewna.

- A więc witaj w domu. - Uśmiechnął się ciepło, kiedy zamglonym wzrokiem spojrzała mu w oczy. - Mam na dzieję, że będzie ci tu dobrze.

Uruchomił silnik, zanim zdążyła odpowiedzieć, i kiedy wjechali przez bramę do bajecznego ogrodu, Kit rozpaczliwie usiłowała powstrzymać drżenie rąk i kolan. Jak mogła reagować w ten sposób na dotyk mężczyzny, którego prawie nie знаła, nie lubiła, któremu nie ufała? Kim ona, do diabła, była? Nie mając odwagi na niego spojrzeć, próbowała skupić wzrok i myśli na otoczeniu.

Jechali szeroką, krętą aleją, wijącą się między szpalerami oliwek, migdałowców, drzew figowych i pomarańczowych. I nagle jej oczom ukazał się biały dom - wspinała budowla w marokańskim stylu, z pięknie zdobionymi łukami, pokrytymi finezyjnym, koronkowym

ornamentem.

Gerard zatrzymał samochód przed kutą w mosiądzu, zwieńczoną orientalnym łukiem bramą wejściową, która natychmiast otworzyła się do wewnątrz i ukazała się w niej niska, szczupła kobieta w marokańskiej galabii -długiej luźnej sukni z bawełny. Miała około trzydziestu lat, ciemną cerę i promienny uśmiech na twarzy.

- To jest żona Assada, Amina - szepnął cicho Gerard, podnosząc na powitanie rękę. - Pracuje tu również brat Assada, Abou, jego żona Halima i ich dzieci. Niestety, Assad i Amina nie doczekali się potomstwa, co dla nich obojga jest powodem wielkiego zmartwienia. Assad nie skusił się jednak na drugą żonę, chociaż w islamie jest to prawnie dozwolone, szczególnie jeśli pierwsza żona jest bezpłodna.

- Skąd wiadomo, że to jej wina? - przerwała mu ostrożnie Kit. - Może to Assad nie może mieć dzieci?

- Niewykluczone - odpowiedział oschle, zbierając się do wyjścia. - Ale nie radziłbym ci wyskoczyć z taką herezją przy Assadzie. - Leniwym krokiem obszedł dookoła samochód, otworzył drzwi z jej strony i pomógł wstać z niskiego fotela. - Marokańczycy są bardzo dumni ze swojej męskości i trochę przewrażliwieni na tym punkcie.

- Nie tylko Marokańczycy - odpowiedziała mu szeptem. - Myślę, że większość mężczyzn zachowuje się nieuczciwie w podobnej sytuacji. Nie mógłbyś coś z tym zrobić, pomóc im w jakiś sposób?

- Nie, chyba że Assad sam poruszy ten temat. Tutaj wtrącanie się w tak osobiste sprawy uznawane jest za brak delikatności, coś wybitnie niestosownego.

- Wy, mężczyźni, jesteście chyba najgłupszymi istotami na świecie - mruknęła pod nosem, zanim znaleźli się w zasięgu słuchu Aminy.

- Zdaje się, że to twoje życiowe motto, co? Tylko naprawdę dzielny mężczyzna umiałby wziąć cię w karby, maleńka, ale satysfakcja... mogłaby być ogromna.

Amina przywitała ich bardzo wylewnie. Mimo że Kit nic nie zrozumiała z potoku słów, które wyrzuciła z siebie filigranowa Marokanka, ciepło bijące z jej ciemnych oczu było wystarczającym dowodem gościnności.

Gdy weszli do środka, Gerard wziął Kit pod rękę i poprowadził marmurowymi schodami w dół na wewnętrzny dziedziniec - olśniewająco piękny, ocieniony bananowcami i bajecznie kolorowymi tropikalnymi krzewami.

Oniemiała z wrażenia. Kojący chłód, zapach kwiatów, monotonne szemranie wody w ogrodowych fontannach...

- Niesamowite... - odwróciła się do niego, tym razem nie kryjąc zachwyty. - Masz

naprawdę piękny dom.

- Jestem szczęściarzem - przyznał po długiej chwili milczenia, kiedy oderwał wreszcie wzrok od jej półotwartych ust. - Mam apartamenty w Essaurze i Casablance, bo spędzam tam sporo czasu, doglądając interesów, ale to jest jedyne miejsce, które traktuję jak prawdziwy dom. Chodź, pokażę ci całe moje królestwo, a potem zjemy coś i Amina pomoże ci się rozgościć.

Wędrując od pokoju do pokoju, poznała resztę domu w całej jego okazałości. W salonach podziwiała unikatowe meble z najrozmaitszych gatunków drewna, inkrustowane złotem i srebrem, cenne książki oprawione w tłoczoną skórę ze złoceniami, bogato zdobioną broń, naczynia z kutego mosiądzu i miedzi, i dziesiątki marmurowych figurek, rozmieszczonych ze smakiem w całym domu.

Podłogi na parterze zdobiła imponująca kolekcja perskich dywanów, a na pierwszym piętrze, gdzie znajdowała się niezliczona liczba sypialni, każda z własną łazienką, korytarze były wyłożone intarsjowanymi parkietami.

Kiedy wrócili na dziedziniec, na niebie połyskiwały już maleńkie gwiazdy, a w ciepłym jeszcze powietrzu unosił się słodki, odurzający zapach kwitnących jaśminów i magnolii.

Amina czekała na nich z wyższą, nieco starszą kobietą, o równie delikatnej twarzy i ciepłym spojrzeniu, którą Gerard przedstawił jako szwagierkę Aminy, Halimę.

- Zjedz coś, sprawisz im tym przyjemność – poprosił cicho Gerard, widząc, jak Kit błędzi małym przytomnym wzrokiem po niskim stole, zastawionym szokującą ilością rozmaitych potraw.

Dojrzałe brzoskwinie, wiśnie, gruszki, śliwki, figi i winogrona kusiły wzrok, ale Kit była tak wyczerpana, że z czystej uprzejmości zjadła trochę owoców i ciastko o intensywnie korzennym smaku, wypila kilka maleńkich szklanek bardzo słodkiej zielonej herbaty z dodatkiem mięty, którą tak lubili Marokańczycy - a potem wcisnęła się w oparcie krzesła i próbowała walczyć z zamykającymi się powiekami.

Musiła jednak zasnąć, bo następną rzeczą, która dotarła do jej świadomości, było to, że ktoś ją niesie na rękach.

- Gerard? - Otworzyła oczy i zobaczyła jego twarz tuż nad swoją. - Przepraszam, czy ja zasnęłam? Mogę pójść sama...

- Przestań gadać - powiedział niskim, łagodnym głosem. - Za dwie minuty będziesz w łóżku i możesz sobie spać tak długo, jak zechcesz.

Jeżeli miał ją tym uspokoić, nie bardzo mu się udało Nagle dotarł do niej fakt, że jest w jego

ramionach, niesie ją na górę do sypialni. Tak dotkliwie odczuwała bliskość jego ciała, męski zapach, ciepło oddechu, i jego niewiarygodną, niemal groźną siłę, że ogarnęła ją dzika panika. Czy on sobie wyobraża, że położy ją do łóżka? myślała przerażona. I do czyjego łóżka?

- Colette wybrała się po południu na zakupy, z myślą o tobie - mówił niezmiennie spokojnym głosem, zmierzając ku otwartym drzwiom na półpiętrze. - Niestety, była już wcześniej umówiona na kolację z przyszłymi teściami, dlatego nie mogła cię przywitać, ale poznamy się jutro.

- Dziękuję... - Poczła się śmiesznie roztkliwioną, kiedy wniósł ją do pokoju o najbardziej orientalnym wystroju, jaki mogła sobie wyobrazić - z ogromnym niskim łóżem, misternie rzeźbionymi meblami i baśniowo kolorowymi, z przewagą złota i czerwieni, draperiami na ścianach.

- Poradzisz sobie sama? - spytał spokojnym tonem, przysiadając na długiej, niskiej sofie, tuż obok łóżka.

- Tak, oczywiście - odparła pospiesznie, może zbyt gorączkowo, i obronnym gestem sięgnęła do górnego guzika bluzki.

Gerard zacisnął usta.

- Nie miałem zamiaru proponować, że cię rozbiore. Ale Amina z przyjemnością ci pomoże.

- Nikogo nie potrzebuję.

- Wszyscy kogoś potrzebujemy. - Rozmyślnie wyjął jej słowa z kontekstu, i oboje o tym wiedzieli. - Nie jesteś wyspą ani samotnym okrętem.

- Nie jestem też statkiem pasażerskim. - Nie chciała tego powiedzieć. Złośliwa riposta wymknęła jej się z ust mimowolnie, ale stało się... Z przerażeniem w oczach czekała na jego reakcję.

- Strasznie mnie kusi, żeby zrobić dwie rzeczy - wycedził po długiej chwili milczenia. - Po pierwsze, przełożyć cię przez kolano i sprać ten zgrabny tyłeczek, w nadziei że po takiej szokowej terapii przybyłoby ci oleju w głowie. Po drugie... - zawiesił tajemniczo głos - pokazać ci, co by było, gdybym wziął cię w ramiona i tak naprawdę zdecydował się z tobą kochać.

- Spróbuj, tylko spróbuj - wymruczała gniewnie, zastanawiając się w popłochu, czy ośmieliłby się spełnić jedną z tych gróźb. - Powiedziałeś, że będę twoim gościem, że traktujesz mnie jak bliźniego, który potrzebuje pomocy...

- Powiedziałem ci już, że skłamałem, a przynajmniej częściowo skłamałem. Jesteś moim

gościem i jesteś bliźnim, który potrzebuje pomocy. Jesteś też bardzo piękną i godną pożądaną młodą kobietą. Tego rodzaju szczerość nie jest chyba nietaktem z mojej strony?

- Ładna mi szczerość.

- Uważasz, że nie powinno mi się nawet marzyć pójście z tobą do łóżka? - spytał z udawaną słodyczą w głosie. - Jestem normalnym trzydziestopięcioletnim mężczyzną, jeśli tego nie zauważyłaś. Trudno byłoby mi zarzucić przesadną rozwiązłość, ale życie w celibacie też nie jest moim powołaniem. Poza tym, jeśli mnie pamięć nie myli, przekonaliśmy się, że ta gra w niewinność, skądinąd bardzo podniecająca, jest tylko grą, a rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej.

- Przekonaliśmy się? Naprawdę? Dam ci znać, gdy będę przekonana. Próbowała uciec w cyniczny sarkazm, ale Gerardowi nawet nie drgnęła powieka.

- Kiedy tylko zechcesz.

- Nie zechcę. I nie mam ochoty na takie rozmowy.

- Dlaczego? Co takiego się wydarzyło, że masz taki wrogi i nieufny stosunek do mężczyzn? Jesteś młoda, ładna...

- Opuść sobie - przerwała mu ostro. - Przestań mówić, że jestem ładna. Straciłam chwilowo pamięć, ale to nie znaczy, że jestem głupia. Oglądałam się w lustrze już po wypadku. Wyglądam znośnie, to wszystko, i ty dobrze o tym wiesz.

- Znośnie? Rudo-kasztanowe jedwabiste włosy, kremowa cera z cudownymi piegami na nosie, pełne usta. Wiesz, że takie usta jak twoje doprowadzają facetów do szaleństwa? Oczy jak niebo o zmroku...

- Przestań. Proszę cię, nie chcę tego słuchać.

Była nieświadoma wyrazu swojej twarzy, bo z całej siły próbowała nad sobą panować, ale Gerardowi, który patrzył na nią z bliska, jej przerażone oczy i drżące wargi powiedziały wszystko. Ktoś ją skrzywdził, bardzo okrutnie skrzywdził, a on, gdyby miał tego drania w zasięgu ręki, zamordowałby go z zimną krwią. Wszystko w nim wrzało, przypominając o dręczącym pożądaniu, które budziła w nim ta kobieta - niemal od chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. I wciąż nie rozumiał dlaczego.

To prawda, że nie była porywająco piękna w tradycyjnym sensie tego słowa: miała przesadnie szczupłą, prawie chłopięcą figurę, drobne piersi i krótką fryzurę. Uroda, wydawałoby się, zupełnie nie w jego typie. Nie używała makijażu, żadnych kobiecych świecidełek... Nie. Pod żadnym względem nie powinna go pociągać, a jednak... A jednak pociągała.

- Idź już spać. - Z posepnym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. - Możesz spać spokojnie - powiedział, stojąc już za progiem - nikt tu nie będzie ci przeszkadzał. Rozumiesz?

- Tak. Rozumiem.

I mimo wszystkich lęków, wątpliwości i skołatanych nerwów ledwie przyłożyła głowę do jedwabnej poduszki, odpłynęła w głęboki, kamienny sen. Obudził ją, dopiero następnego dnia po południu, ciepły i melodyjny głos Aminy.

- *Mademoiselle* śpiąca? Bardzo śpiąca?

Kiedy Kit, na wpół przytomna, z wysiłkiem otworzyła oczy, poraziło ją migotliwe światło wpadające przez otwarte okno. Niska kobieta rozsunęła do końca zasłony i podeszła do łóżka.

- Teraz ucztą? Tak?

- Słucham? - Skonsternowana, usłyszała ciepły kobiecy śmiech dobiegający od drzwi i błyskawicznie odwróciła głowę.

- Ona chce, żebyś coś zjadła. - Stojąca w progu niska, zgrabna kobieta wskazała palcem tacę, którą Amina podniosła właśnie z małego stolika. - Gorąca kolacja będzie dużo później. Mam na imię Colette.

Co powiedziawszy, siostra Gerarda podeszła do łóżka i usiadła z boku na grubym perskim dywanie.

- Może być ta nocna koszula? Nie widziałam cię, więc nie miałam pojęcia, jaki masz gust. Ale dobrze jest ci w takim bladezielonym kolorze. - Uśmiechnęła się promiennie, odsłaniając rząd pięknych białych zębów.

- Jest śliczna. - Kit ledwie na nią zerknęła. - To bardzo miłe z twojej strony, że zechciałaś zadać sobie tyle trudu.

- Żaden trud! - Colette zaprotestowała wesoło. - Rozkaz szefa.

Kit odwzajemniła jej uśmiech, myśląc sobie, jak bardzo ta pogodna kobieta różni się od swojego brata. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, owalną twarz o dziewczęcych rysach, wielkie zielone oczy i bujne włosy w kolorze miedzi. I mówiła po angielsku bez śladu obcego akcentu. Zadziwiający, ale naprawdę w niczym nie była podobna do Gerarda.

- Jak się czujesz? - spytała poważnie.

- Dużo lepiej - odpowiedział szybko Kit. - Miło mi cię poznać.

- Z wzajemnością. Nie mogłam się doczekać tego spotkania, chociaż wyobrażałam sobie ciebie zupełnie inaczej.

- Tak? - uśmiechnęła się szeroko. - Wyobraź sobie, że to samo chciałam powiedzieć o

tobie. Jesteś zupełnie niepodobna do swojego brata.

- I całe szczęście! - Colette zmarszczyła lekko zadarty nos. - Uważam to za komplement. Czy jakakolwiek kobieta chciałaby wyglądać jak Tarzan? Swoją drogą... - zawahała się na moment - jesteśmy rodzeństwem przyrodnim. Matka Gerarda zmarła, kiedy był małym chłopcem, a trzy lata później tata poznał moją mamę. Była Amerykanką - dodała, biorąc tacę z rąk Aminy, która skinąwszy głową, wyszła z pokoju. - Bardzo tęskniła za Stanami, dlatego mniej więcej pół roku spędzała z tatą, którego kochała do szaleństwa, a drugie pół ze swoją amerykańską rodziną. Ja z nią oczywiście wyjeżdżałam, ale Gerard nigdy. Wolał być z tatą w Del Mahari. Wiem, że tego rodzaju układ może wydawać się dziwny, ale nam wszystkim to odpowiadało. Nie pamiętam, żebyśmy się kiedykolwiek za życia rodziców pokłócili.

Kit chciała powiedzieć coś miłego, ale kiedy Colette przestała mówić, jakiś dotkliwy, jątrzący ból przeszył jej serce. Musiała sobie coś przypomnieć, coś ważnego, ale choć bardzo się starała, nie zdołała tego zatrzymać. Wrażenie uleciało.

- Dobrze się czujesz? - Niespokojny głos Colette przywołał ją do rzeczywistości. - Wyglądasz jakoś...

- Wygląda jak ktoś, kto chwilowo ma dosyć twojej paplaniny.

Obie jednocześnie odwróciły się do drzwi. Kit na moment zamarło serce, a potem zaczęło bić w rytmie zapierającym dech w piersiach. Ogromna postać wkraczającego do pokoju Gerarda wydała jej się nierealna. Był w luźnych bawełnianych spodniach i cienkiej tunice z długimi rękawami, ściągniętej paskiem z haftowanego materiału. Arabski strój zdawał się dla niego stworzony; przeobraził go w jakiś magiczny sposób, nie zostawiając śladu europejskiego pochodzenia.

- Dobrze spałaś?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odpowiedziała z udawaną swobodą. Dopiero kiedy podszedł do łóżka i usiadł na dywanie, zauważyła, że ma bosa stopy.

- A Colette nie zmęczyła cię swoim gadulstwem?

- Jestem tu zaledwie od kilku minut. - Colette rzuciła bratu pogardliwe spojrzenie, które on kompletnie zignorował.

- A teraz wyjdiesz, żeby nasz gość mógł zjeść w spokoju. - W jego pozornie łagodnym głosie zabrzmiała stanowcza nuta.

Colette wydeła lekko wargi, nie protestując ani słowem, co wprawiło Kit w zdumienie - a potem zawrzała w niej złość. Co za arogancki, despotyczny typ...

- Nie krzyw się - powiedział, czytając w jej myślach, kiedy Colette wyszła z pokoju. - I

zaczynj jeść; to tylko kawałek zimnego mięsa z sałatą i kieliszkiem wina.

- Pijesz alkohol? Myślałam, że...

- Jestem Francuzem, a nie Marokańczykiem. Zakaz picia alkoholu dotyczy tylko wyznawców islamu. A ja jestem w tym szczęśliwym położeniu, że mogę wybierać to, co mi najbardziej odpowiada z obu kultur. Zgodzisz się ze mną, że to sytuacja godna pozazdroszczenia.

Mówił lekko, swobodnie, wydawał się pogodny i odprężony, a jednak Kit nie była w stanie wydusić z siebie nawet zdawkowej odpowiedzi. Jego bliskość paraliżowała ją i nigdy nie była dotkliwiej świadoma własnego ciała. Koronkowa koszulka, którą wybrała dla niej Colette, nie pozostawiała pola wyobraźni, i chociaż w tej samej sekundzie, w której usłyszała jego głos, podciągnęła jedwabne prześcieradło do samej brody, i tak czuła się naga. I dziwnie zagrożona, jakby nie ufała sobie samej. W europejskim ubraniu był niewiarygodnie przystojny, ale tutaj, we własnym królestwie i w tym arabskim stroju, przypominał polującego lwa. Nie mogła tu zostać, naprawdę nie mogła, i nie powinna była przyjąć jego zaproszenia...

- Kolacja będzie o ósmej.

Kiedy wstawał, poczuła zapach jego wody kolońskiej i znowu jej serce ruszyło do galopu. Przestań, przestań. Zamknęła na chwilę oczy, tłumacząc sobie, że to tylko instynktowna reakcja na jego zniewalającą męskość. Pewnie celowo tak się ubrał, pomyślała z furią, odprowadzając go wzrokiem do drzwi, ale nie... Przesadzała z tymi podejrzeniami. Był po prostu sobą, to wszystko.

Długo dochodziła do siebie, zanim pierwszy kęs przeszedł jej przez gardło, ale zjadła w końcu wszystko, popijając lekkim musującym winem, i wyciągnęła się wygodnie na łóżku. Co za pokój! Przyjrzała się dokładniej wystrojowi buduaru w orientalnym stylu, wreszcie - pamiętając o zbliżającej się kolacji - zerknęła nerwowo na zamknięte drzwi i podreptała do łazienki.

Po długim, chłodnym prysznicu umyła włosy, owinęła się grubym ręcznikiem i nagle zdała sobie sprawę, że nie ma żadnych osobistych rzeczy - ubrania na zmianę, butów, nie mówiąc o takich drobiazgach jak krem, szczotka do zębów...

W łazience było zatrzęsienie najróżniejszych kosmetyków, wszystkie w oryginalnych opakowaniach, jeszcze nie używane. Czyżby Colette kupiła to wszystko dla niej? Miała nadzieję, że nie. Tak czy inaczej, sytuacja stawała się coraz bardziej kłopotliwa. Ociągając się, zajrzała do przylegającej do sypialni garderoby i dopiero wtedy przeżyła prawdziwy szok. Wszystkie ubrania, europejskie i wschodnie, były jej rozmiaru. W szufladach odkryła

imponującą kolekcję luksusowej damskiej bielizny i kilkanaście par butów, w rozmiarze od piątki do ósemki. Spojrzała na swoje szczupłe stopy. Nie wiedziała nawet, jaki nosi numer butów, ale wybrała szóstkę. Zgadzało się. Pierwsze pantofle, jakie przymierzyła, pasowały idealnie.

Kiedy w domu rozległ się pierwszy gong wzywający na kolację, dokładnie za dziesięć ósma, była ubrana i gotowa do zejścia na dół. Włożyła czarny luźny żakiet z cienkiego jedwabiu, workowate spodnie i długą bluzkę z krótkimi rękawami - całość zdawała się kompromisem między stylem europejskim i orientalnym. Poza delikatnymi złotymi nitkami w materiale, z którego była uszyta bluzka, nie miała na sobie żadnych ozdób. Zrezygnowała z makijażu, nawet z tuszu na rzęsach. Gdyby ktoś jej powiedział, że próbuje się w ten sposób maskować, że ukrywa się za surowym, bezbarwnym wyglądem, zaprzeczyłaby gorąco, wierząc w to, co mówi.

Colette zapukała do drzwi chwilę po tym, jak ucichło ostatnie uderzenie gongu. Objęła ją przyjacielskim gestem i razem zeszły po masywnych kręconych schodach na niższe piętro. Gerard już na nie czekał.

Siedział na niskim pufie w kącie ogromnego holu. Kit spojrzała na niego spłoszonym wzrokiem, kiedy wstał, z tą swoją zmysłową gracją dzikiego zwierza, i spokojnym krokiem ruszył w ich stronę. W jego skupionym, napiętym spojrzeniu dostrzegła błysk ożywienia i nagle, jakby świadoma siły swojej kobiecości, poczuła się trochę pewniej.

- Nie denerwuj się, nie będzie nikogo obcego, zjemy kolację we trójkę.

Jeżeli chciał ją tym pocieszyć, wywołał odwrotny skutek. Do diabła, wiele by teraz dała, żeby ten potężny jak tur mężczyzna w zwiewnych arabskich szatach nie robił na niej takiego wrażenia.

- Jadłaś już kiedyś w marokańskim domu? – Objął obie kobiety i poprowadził do jadalni.

- Nie sędzę.

- Uważam, że ich sposób jedzenia jest wygodniejszy i bardziej skłania do konwersacji. - Wskazał jej zdobione misternymi haftami sofy, ustawione wokół ogromnego niskiego stołu. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko jedzeniu palcami? - Odpowiedział uśmiechem na jej zdumioną minę. - Używa się tylko prawej ręki. Amina każdemu z nas ją umyje, najpierw przed posiłkiem, a potem po skończonej kolacji.

- Dlaczego tylko prawej?

- Lewa służy do bardziej przyziemnych obowiązków. W czasach młodości mojego ojca zdarzało się, że skazywano złodzieja na odcięcie prawej ręki, co poza tym, że naznaczało go piętnem na całe życie, pozbawiało prawa do jedzenia w towarzystwie innych ludzi. Okrutna,

ale niezwykle skuteczna kara.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że pochwalasz takie barbarzyństwo? - Kit skrzywiła się z odrazą.

- Gerard? Oczywiście, że tego nie pochwała- wtrąciła się Colette, siadając koło brata. - To dusza człowiek, naprawdę, tylko tak groźnie wygląda.

Gerard zmarszczył brwi, zbywając uwagę Colette wyniosłym milczeniem.

Gdy Halima zaczęła wносить na stół danie za daniem, Amina pojawiła się z ręcznikami i wielką kamionkową miską, a chwilę później przyniosła duże naczynie podobne do czajnika. Na jej prośbę, wyrażoną gestem dłoni, Kit wyciągnęła rękę nad miską, a Marokanka połała ją strumieniem delikatnie perfumowanej wody.

- Pachnie różami... - Kit odwróciła się do Gerarda z pytaniem w oczach.

- No właśnie. - Uśmiechnął się leniwie. - Na skraju pustyni znajdują się różane oazy, ogromne pola pachnących krzewów, ciągnące się na przestrzeni około stu kilometrów. Kiedy róże zakwitają, zbiera się ich płatki do wielkich koszy, zwozi do destylarni i gotuje w wodzie. Ze skraplającej się pary w specjalnych kotłach destyluje się olejek zwany esencją różaną, której używa się w całym Maroku do perfumowania wody rytualnej. Jak ci się to podoba?

- Podoba mi się... oczywiście. - W intensywnym spojrzeniu jego brązowych, lekko zmrużonych oczu było coś, co wyprowadzało ją z równowagi. - Cudowny zwyczaj.

- Odwieczny rytuał - poprawił ją łagodnie. - Jeden z najwspanialszych. Nie jestem aż takim dzikusiem, za jakiego mnie bierzesz.

- Ale ja nie...

Przerwała jej Colette, która - zupełnie nieświadoma ukrytych znaczeń w toczącej się bez jej udziału rozmowie - uznała za stosowne skomentować deklarację Gerarda, którą uznała za żart.

- Przyzwyczaisz się do niego - zaśmiała się wesoło. - Kto jak kto, ale Gerard nie jest dzikusiem! Nie znam nikogo, kto miałby tyle do powiedzenia na każdy temat, co on.

- Ale to jest wiedza wyuczona, Colette, taka, którą ma się w głowie - przerwał jej chłodno, nie odrywając ani na moment wzroku od spiętej twarzy Kit. - Nie ma ona nic wspólnego z wnętrzem człowieka. Wszyscy mamy w sobie coś dzikiego, czającą się bestię, której żadne osiągnięcia cywilizacji nie są w stanie okiełznać. Czyż nie mam racji, angielska księżniczko?

- Na pewno wiesz, o czym mówisz - odpowiedziała matowym głosem. - A kim ja jestem, żeby zgadzać się albo nie zgadzać z kimś, kto wie tak dużo na każdy temat?

Otworzył usta w chwili, gdy na stoliku za jego plecami zadzwonił telefon.

- Odbiorę. - Pokręcił głową, kiedy Halima sięgnęła do aparatu, i sam podniósł słuchawkę. Słuchał, nie przerywając, kilka dobrych minut, a potem rozmawiał bardzo szybko po arabsku.

Kiedy wreszcie skończył, odwrócił się do Kit z twardym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Wiesz, kim jesteś? - powtórzył dręczące ją pytanie z zimnym uśmiechem. - Wszystko wskazuje na to, że panną Samantha Kittyn z Londynu. - Wpatrywał się w nią magnetycznym wzrokiem, szukając śladu reakcji. – Przy najmniej tak powiedział policji twój narzeczony, niejaki David Shore.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- I co? Czy po tej informacji zadzwoniło ci coś w głowie?

- Nie. - Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. - Nic a nic. Narzeczonej? To znaczy, że miała wyjść za mąż?

- No, tak.

Może sobie to wymyśliła, może jej się zdawało, ale przysięgłaby, że przez ułamek sekundy widziała w jego oczach ulgę, jeśli nie radość.

- Może ten David nie jest typem mężczyzny, który robi na kobietach niezapomniane wrażenie? - powiedział to tak miękko, pozbawionym wyrazu głosem, że Kit nie od razu wychwyciła zawartą w tym pytaniu bezlitosną drwinę. Gdy nie zareagowała, przeszedł gładko do relacjonowania szczegółów rozmowy z policjantem. - Po tym, jak zadzwoniłem dziś rano do inspektora prowadzącego twoją sprawę, policja skoncentrowała się na poszukiwaniach w Casablance, i prawie natychmiast dostali raport o zaginięciu kobiety. Jakaś samotna Angielka z hotelu Sabratha nie wróciła na noc, tak jak zapowiadała, a potem doszła jeszcze wiadomość, że jakiś gorliwy policjant znalazł w Essaurze wynajęty przez nią samochód. Kiedy policja sprawdziła twoje dokumenty - na szczęście zostawiłaś je w hotelowym sejfie - wszystko stało się jasne. Zadzwonili do Anglii i rozmawiali z twoją współlokatorką i jej bratem, wspomnianym Davidem. Podobno... on chciałby z tobą porozmawiać, jak tylko będzie to możliwe.

- Aha. - Denerwujące było, że z takim wysiłkiem oderwała wzrok od jego twarzy. On był denerwujący, cały ten nedorzeczny dramat był denerwujący i żaloszny, a ona była w samym jego środku.

- Ale ponieważ Halima i Amina czekają z kolacją, może zgodziłabyś się odłożyć tę rozmowę na trochę później? - spytał uprzejmie.

Trochę później... Nie wiedziała skąd, ale wiedziała na pewno, że Gerard nie będzie tego wieczoru zachęcać jej do rozmowy z Davidem. W jaki sposób spróbuje ją powstrzymać? Mniejsza o to, nie miała zamiaru dzwonić do jakiegoś obcego człowieka w Anglii i usłyszeć Bóg wie co, dopóki nie znajdzie czasu na pozbieranie myśli i nie zdecyduje, o co chciałaby go zapytać.

Kiedy skinęła potulnie głową, Gerard zmrużył lekko oczy, jakby próbował odgadnąć, co jej chodzi po głowie, podniósł jednak szybko rękę, dając Marokankom sygnał do rozpoczęcia kolacji.

Amina i Halima postawiły przed nimi półmisek z pieczoną jagnięciną, a obok kilka tacek z

małymi, okrągłymi plackami arabskiego pieczywa. Gerard, jak przystało na pana domu, do którego obowiązków należało stworzenie podczas posiłku przyjaznej atmosfery, mówił cicho, ciepłym i swobodnym głosem.

- Zgodnie z tutejszym zwyczajem jedzenie chwyta się kciukiem i dwoma pierwszymi palcami prawej ręki. I ponieważ jest to pierwsze z wielu dań, nie ma obowiązku zjeść wszystkiego. Amina i Halima będą zadowolone, jeśli choć spróbujesz każdego dania. One uwielbiają gości, którym mogą zaimponować. Mięso jest tak kruche, że nie będziesz miała kłopotu z oddzieleniem małej porcji; zwykle nie używamy talerzy, ale jeśli chcesz...

- Nie, nie, poradzę sobie, naprawdę. - Biorąc przykład z Colette, sięgnęła po soczysty kawałek mięsa i mruknęła z zachwytem. - Pyszne! - Oblizała z uznaniem palec i sięgnęła po następną porcję, uświadamiając sobie nagle, że jest strasznie głodna.

Kiedy Amina wkroczyła do jadalni z następnym daniem, Kit spojrzała pytająco na Gerarda.

- *Pastilla* - powiedział cicho. - Amina spędziła wiele godzin w kuchni, żeby przyrządzić tę potrawę na twoją cześć, więc kiedy jej spróbujesz, możesz głośno wyrazić swój podziw. Są to pierożki z bardzo cienkiego, kilkuwarstwowego ciasta, faszerowane mięsem, migdałami, jajkami na twardo, ziołami i mnóstwem przypraw. Tylko uważaj, bo są bardzo pikantne.

Kiwała ze zrozumieniem głową, chociaż docierało do niej co drugie słowo, a serce biło jak oszalałe. On wyglądał tak... egzotycznie w tym luźnym, seledynowo-czarnym arabskim stroju, i był tak niewiarygodnie, prowokująco męski. Jak w scenie z „Arabskich nocy”! Zamknęła na chwilę oczy, modląc się, żeby wrócił jej zdrowy rozsądek. To było prawdziwe życie, a nie przedstawienie albo film, z którego mogłaby po prostu wyjść!

- Samantha? Co się stało?

Wzdrygnęła się i spojrzała nieprzytomnie w jego złotobrązowe, przepastne oczy.

- Nie lubię tego imienia. - Skorzystała z pretekstu, żeby nie odpowiedzieć na jego pytanie.
- Samantha... Nie, nie podoba mi się.

- Nie? Może używałaś innego imienia? Nic ci nie przychodzi do głowy? Może jakieś zdrobnienie?

Patrzyła na niego znad kieliszka, sącząc powoli wino i próbując opanować rozbiegane myśli, w końcu rozłożyła bezradnie ręce.

- Trudno. - Wgryzł się białymi, mocnymi zębami w delikatny pierożek, pomrukując z zadowolenia. - W takim razie, jeśli nie mogę zwracać się do ciebie po imieniu, może będę strzelał palcami, żeby przyciągnąć twoją uwagę?

- Kiepski dowcip. Nie mam zadatków na niewolnicę - odparowała natychmiast.

- Może Sam? - Colette wtrąciła się do rozmowy, przypominając o swoim istnieniu. - To jest chyba najbardziej popularne zdrobnienie Samantha?

- Nie tej Samantha - warknął złowrogo Gerard. - Kobiety powinny używać kobiecych imion.

- To zwykły szowinizm. - Kit spąsowiała ze złości. - Mamy rok 1990, jeśli tego nie zauważyłeś. Kobiety już dawno zdobyły prawo do głosowania.

- Krok wstecz moim zdaniem - odpowiedział aksamitnym głosem.

- No, nie, ty chyba... - przerwała, gdy Colette zaczęła chichotać, a w jego niewinnym spojrzeniu dostrzegła iskiereczkę rozbawienia. - Żartowałeś oczywiście - dokończyła z wymuszonym uśmiechem.

- Tak? Jesteś tego pewna? - zapytał już bez cienia kpiny, potem milczał długo, wpatrując się w nią badawczym wzrokiem, jak gdyby chciał przejrzeć na wylot jej duszę. - Czujesz, kim jestem?

- Nie - odpowiedziała bezwiednie, na wpół zahipnotyzowana. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- To smutne.

Zapadła cisza. Chyba nawet Colette zdała sobie sprawę, że w tym, co chce powiedzieć jej brat, kryje się jakieś głębsze znaczenie.

- Skrzywdzenie drugiego człowieka to wystarczające zło, ale odebranie mu zdolności oceniania innych graniczy z podłością. Arabowie mają takie powiedzenie, że aby po znać siebie, najpierw trzeba nauczyć się czuć, kim są inni. Dzięki temu akceptuje się dobro i zło, rozumie niedoskonałości, po to, by niespodziewane rozczarowania nie psuły potem wzajemnych stosunków. To pozwala też odnaleźć w drugim człowieku prawdziwy klejnot i odrzucić resztę.

- Tego nie da się zrobić - szepnęła.

- Przeciwnie. - Jego twarz nie zdradzała śladu cynizmu. - Nie ma wątpliwości, że każdy z nas wytwarza wokół siebie aurę, która jest istotną częścią jego samego, ale zbyt wielu ludzi, szczególnie w zachodnim świecie, przywiązuje wagę do wyglądu zewnętrznego i wierzy w wątpliwą szczerłość samych słów. Arabowie bardziej ufają głosowi wewnętrznemu, mądrości swojej duszy, ale potrzeba sporo czasu, żeby nauczyć się czuć, i nie jest to łatwe. Czasem bywa nawet bolesne.

- Mówisz o przecuciach, instynkcie, szóstym zmyśle, nazwij to jak chcesz - powiedziała z wyraźną irytacją.

- Nic nowego pod słońcem. Nie ma w tym nic mistycznego.

- Nie, mówię o czymś innym. - Pochylił się lekko i zniżył głos. - Mówię o sztuce bycia i czucia. O wyciąganiu nauki z każdego zdarzenia, które porusza nasze serce, i o czerpaniu mądrości nawet z nieszczęść. Mówię o szukaniu siły wewnątrz siebie, odrzucaniu goryczy i nierozczulaniu się nad sobą, o patrzeniu na wszystko poprzez wewnętrzne światło, które rozprasza ciemność i pozwala nam zobaczyć rzeczy takimi, jakie są - po to, żeby mieć możliwość ich świadomego zaakceptowania albo odrzucenia. Zdobywanie daru czucia, kim są inni, uczy pokory, nie pychy, bo w czasie tej trudnej drogi poznajemy samych siebie.

- A jeśli komuś nie spodoba się to, co poznał? - zapytała rzeczowo. - Myślę, że poznawanie samego siebie to ryzykowny interes.

Otworzył szeroko oczy, a potem wybuchnął głośnym, niepoahamowanym śmiechem. Nie była wcale pewna, co go tak rozbawiło, ale po chwili śmiała się razem z nim.

- Jak na takiego zagubionego kotka, masz bardzo ostre pazurki - powiedział wreszcie, z trudem łapiąc oddech.

- To będzie dla mnie nauczka, żeby powściągać filozoficzne zapędy, kiedy jest pora na jedzenie.

Na stole pojawiały się i znikwały kolejne dania, a ona wciąż przetrawiała jego słowa. Poruszyły ją tak głęboko i tak boleśnie, że instynktownie skryła się za maską wesołości. Dlaczego? Próbowwała wydobyć coś z pamięci, cokolwiek, ale oaza zapomnienia wciąż broniła dostępu do mrocznego sekretu.

Kiedy Amina postawiła na stole ostatnie danie - duszone mięso z owocami - obok pater z wiśniami, brzoskwiniami, gruszkami, bananami i daktylami, Kit wiedziała, że nie jest w stanie zjeść nic więcej. Uśmiechnęła się do Aminy i Halimy, przesuwając rękę nad stołem i tym gestem wskazując na zastawiony stół.

- To wszystko było pyszne, dziękuję. Naprawdę doskonałe.

Obie kobiety odwzajemniły uśmiech, zanim jeszcze Gerard przetłumaczył jej słowa, skinęły głową i z promiennymi twarzami wróciły do kuchni.

- Jest chyba trochę za późno na telefonowanie dzisiaj do Anglii - powiedział cicho Gerard kilka minut później, kiedy Amina opłukała im dłonie różaną wodą i mogli wstać od stołu.

- Zadzwonię jutro.

- W takim razie byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała obejrzeć ze mną ogrody - powiedział głębokim, lekko ochrypłym głosem, z lekkim akcentem, który przydawał jego słowom zmysłowego czararu.

Delikatnie ujął ją pod rękę i poprowadził na wewnętrzny dziedziniec.

- Ale sam powiedziałeś, że jest późno – odpowiedziała ostrożnie, szukając wzrokiem Colette, która gdzieś z głębi domu krzyknęła wesoło „dobranoc”.

Kit zadała sobie bolesne pytanie, czy ona też kiedyś taka była. Jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić. Nie, coś jej mówiło, że nigdy nie była beztrocka i radosna.

- Nie kłóć się ze mną. Spałaś prawie cały dzień, i tak byś teraz nie zmrużyła oka, a krótki spacer w chłodną noc to jest właśnie to, czego potrzebujesz.

- Skąd wiesz, czego potrzebuję? - I znów coś się w niej zbuntowało. Był taki pewny siebie, tak przerażająco pewny siebie! Czego on się po niej spodziewa? Krótkiej łózkowej przygody? Niektórzy mężczyźni muszą być przekonani, że mogą mieć każdą kobietę, na którą przyjdzie im ochota. Może on jest właśnie taki? Niemożliwe, żeby brakowało mu damskiego towarzystwa. A ona nie jest typem *femme fatale*. Co takiego mógłby w niej widzieć? Chyba że podnieca go sama gra w polowanie i perspektywa ostatecznego zwycięstwa.

Ignorując zaczepkę, Gerard przeprowadził ją pod łukowato sklepionym przejściem na długi, wykładany mozaikami korytarz, okalający pomieszczenia kuchenne na tyłach domu. Słysząc było głosy obu Marokanek i jakiegoś mężczyzny, prawdopodobnie Assada. Abou rzadko się pokazywał, a jeśli już - wydawał się ponury i zamknięty w sobie, w przeciwieństwie do swojego zawsze uśmiechniętego brata, który był bliskim przyjacielem Gerarda.

Przez żelazną bramę w ażurowym kamiennym murze weszli do ogrodu i nagle Kit poczuła się jak w zaczarowanym świecie. Aksamitny granat nieba nad głową, otulający ją słodką mgiełką zapach roślin i potężny mężczyzna w zwiewnej egzotycznej szacie kroczący u jej boku. Ogarnęło ją uczucie nieprawdopodobnej lekkości i beztrocki, ale po chwili upojenia wrócił znajomy lęk. Co ona tu robi? Co się z nią dzieje? Miała wrażenie, że porywa ją jakaś tajemnicza siła. Mrok nocy rozprasało magiczne światło lamp i na kilka minut zapomniała o strachu, chłonąc wszystkimi zmysłami otaczające ją piękno. Strumyk z miniaturowymi wodospadami wił się przez rozległe trawniki, ocienione płaczącymi wierzbami, dębami i niezliczoną ilością innych drzew, tropikalnych krzewów, hibiskusów, róż, kapryfolium i jaśminów. Zauważyła też altankę ukrytą za ścianą zielonego błyszczącego bluszczu.

- Większość tych drzew posadziła moja mama. - Zatrzymał się pod wielkim rozłożystym cedrem, którego pień okalała drewniana ławka. - Usiądźmy na chwilę. Ogrody marokańskie są na ogół geometryczne, finezyjnie prowadzone, ale ona wołała bardziej naturalne otoczenie.

- Jest cudowny. - Kit usiadła na samym brzegu ławki, napięta jak struna.

- Przypomniałaś sobie coś?

- Nie - wydusiła z siebie po długiej chwili, pewna jedynie tego, że nikt nigdy w życiu nie działał na nią w ten sposób. Czowała zapach jego skóry, delikatny, ale odurzający, drętwiała pod spojrzeniem jego przymrużonych, błyszczących oczu... Był jak księżę nocy, niebezpieczny, silny i tak bardzo świadomy swojej przynależności do tego miejsca.

- Próbowałaś...?

- Oczywiście, że próbowałam - przerwała mu ostro, napadem wrogości usiłując zniweczyć intymny nastrój. - Chyba nie sądzisz, że mi odpowiada ta sytuacja!

- Chciałem zapytać, czy próbowałaś się rozluźnić? Głos miał chłodny, ale gdy spojrzała mu szybko w twarz, znowu dostrzegła ten przelotny namiętny błysk. Wołała wierzyć swojej intuicji. Pragnął jej. Mogła się dziwić, ale to, co zobaczyła w jego oczach, było dzikim, prymitywnym pożądaniem.

- To nie takie proste. - Oparła stopy na ławce i podkurczyła kolana. - Jestem przerażona. - Nie miała pojęcia, dlaczego się przyznała. Z jednej strony chciała zachować powściągliwość i chłód, z drugiej - potrzebowała jego męskiego wsparcia. Głupia, głupia, głupia, wyrzucała sobie w duchu. Czy naprawdę chodziło jej tylko o wsparcie? Powinna mieć się na baczności.

- Oczywiście, wcale ci się nie dziwię. Powiedziałem już, że jak na takiego małego zagubionego kotka, jesteś bardzo dzielna.

- Powiedziałeś, że mam ostre pazurki.

- Co na jedno wychodzi.

Wiedziała, że chce ją pocałować, i wiedziała, że to szaleństwo, ostatnia głupota, ale marzyła, żeby to zrobić. Wzbudzał w niej trudny do wytłumaczenia strach i zakłopotanie, ale coś silniejszego kazało jej odwrócić głowę, kiedy uniósł delikatnie jej podbródek. Nie broniła się. To był długi, głęboki, zmysłowy pocałunek i chociaż czuła, że jej ciało pragnie więcej, nagle zmroziła ją myśl, że jeszcze nie jest gotowa. Kiedy otoczył ramionami jej plecy, próbowała się uwolnić, ale Gerard nawet nie drgnął. Przez moment miotła się jak w klatce - i nagle lęk gdzieś odpłynął. Błądził wargami po jej policzkach i szyi, a ona wtuliła się w jego mocny tors, drząc cała, kiedy wrócił do jej spragnionych ust.

- Jesteś słodka jak miód - szepnął czule, wsuwając dłoń pod jej bluzkę. - Taka słodka...

Zdrętwiała na moment, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu, żeby go powstrzymać. Jej sutki stwardniały boleśnie pod jego palcami, i nie wiedziała już, czy słyszy bicie własnego serca, czy serca Gerarda. Powiedział jej w czasie kolacji, że ma dwadzieścia pięć lat i jest zaręczona, a jednak, gdyby o tym nie wiedziała, przysięgłaby, że po raz pierwszy w życiu

ktos dotyka jej w ten sposob. Kiedy poczula powiew chlodnego powietrza na piersiach, zorientowala sie, ze ma rozpieta bluzke, i nagle - zawstydzona i upokorzona - zakryla dloniami nagie ciało.

- Nie rob tego. Jesteś piękna.

Piękna? Z tym chudym, chłopięcym ciałem i małymi piersiami? Zamknęła oczy, żeby nie zobaczyć w jego oczach litości i drwiny.

- Kotku? Otwórz oczy.

- Nie.

- O co chodzi? Co się stało?

- Pozwól mi odejść. - Spojrzała na niego udręczonym wzrokiem. - Proszę.

- Nie powinnaś się wstydzić własnego ciała. Jesteś piękną, młodą kobietą. To nie może być dla ciebie nic nowego.

- Gerard... - Pokręciła rozpaczliwie głową jak małe dzikie zwierzątko schwytane w pułapkę. - Proszę.

- Kto cię tak skrzywdził? - Uwolnił jej ręce, drżącymi palcami zapiął bluzkę i poczekał, aż sama spojrzy mu w oczy. - Pragnę cię, kotku, wiesz o tym - powiedział wolno niskim, ochryplym głosem - ale mogę poczekać.

- Ja... - Głos zupełnie jej się załamał, ale nabrała głęboko powietrza, żeby spróbować jeszcze raz. - Jestem zaręczona, ty to powiedziałeś.

- Ale nie jesteś jeszcze mężatką - powiedział zmienionym, twardym głosem. Kimkolwiek jest ten David, nie uszczęśliwił cię, bo inaczej byś się tu nie znalazła.

- Jestem tu z powodu wypadku - zaprotestowała niemrawo, kiedy odgarnął kosmyk włosów z jej rozpalonego czoła.

- Nie, nie z powodu wypadku. Musisz wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. Jesteś tutaj z powodu czegoś, o czym chcesz zapomnieć, czegoś, co wywołało w tobie tak silny uraz, że podświadomie uciekłaś w niepamięć. Twoja psychika jakby tylko czekała na taką okazję, jaką był ten wypadek. Gdybyś była moja, nie musiałabyś tego robić.

- To śmieszne. - Arogancja tego stwierdzenia wywołała w niej zbawienny przypływ adrenaliny, dzięki której przestała w końcu drzeć jak osika. - Niby skąd możesz to wiedzieć?

- Wiem, jaka jesteś w moich ramionach. Pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie, żebyś nie wiem jak się przed tym broniła. Czy powiesz, z ręką na sercu, że to nieprawda?

- Ja ciebie nawet nie znam! I nie wiem, do jakich kobiet przywykłeś, ale ja nie idę do łóżka na pstryknięcie palcem.

- Kto mówi o łóżku? - Przyciągnął ją bliżej do siebie i pocałował ciepłymi wargami w czubek nosa. - Nie jestem smarkaczem, który musi udowadniać swoją męskość sukcesami łóżkowymi. Myślałem, że zaczynamy się trochę poznawać, sprawiając sobie wzajemnie przyjemność. - Poglądził palcem jej policzek. - Kotku, nie mam zamiaru robić niczego, na co nie miałabyś ochoty.

- Ale... - Kiedy zaczęła mówić, zamknął jej usta namiętym pocałunkiem.

Dlaczego, do diabła, jest w tym taki dobry?, zastanawiała się, jednocześnie z radością witając nową falę cudownego podniecenia. Zachwycająco, niebezpiecznie dobry. Ile kobiet mógł już mieć?

- Odpreź się...

Przechyliła w tył głowę, kiedy jego usta powędrowały niżej, znacząc delikatnymi pocałunkami szyję i płatki uszu. Stłumionym jękiem odpowiedział na jej przyzwolenie, ale nie posunął się w swoich pieszczotach ani centymetr dalej niż poprzednio. Wrócił do jej ust, drżących i niewiarygodnie słodkich. Błądził po nich językiem, kusząc czule i prowokacyjnie na przemian, coraz gwałtowniej, aż zaczęła myśleć, że już dłużej nie będzie potrafiła i mu się oprzeć... I wtedy, zupełnie niespodziewanie, przestał.

- Co się stało? - Otworzyła przymglone oczy i spojrzała, zdziwiona, na jego spiętą twarz.

- Myślę, że wystarczy na dzisiaj tego poznawania się - odpowiedział lekko drżącym głosem.

- Tak? - Otworzyła szeroko oczy. A więc nie panował nad sobą aż tak bardzo, jak próbował ją o tym przekonać. Odkrycie, że naprawdę wzbudziła w nim pożądanie, było równie podniecające jak jego pocałunki.

- Tak. - Zmierzył ją oschłym spojrzeniem. - Chyba że chcesz, żebym wziął cię na tej trawie, natychmiast... No właśnie. - Uśmiechnął się pobłażliwie, widząc, jak w popłochu odwraca wzrok. - Więc jeśli zakładamy, że lepsza rozwaga niż odwaga, ogłaszam koniec pierwszej lekcji.

Kiedy z zupełnie już obojętną miną poprawił na niej ubranie, wstał z ławki i podał jej rękę, nagle dotarło do jej świadomości, że igrała z ogniem. Siła była po jego stronie, to on miał nad nią czysto fizyczną przewagę. Gdyby stracił nad sobą kontrolę... Chyba całkiem postradała zmysły, oszalała - co jej się stało, żeby samej prosić się o nieszczęście? Może odurzyło ją to powietrze? A przede wszystkim, dlaczego on zawraca sobie nią głowę? Dlatego, że jest pod ręką? Poczula bolesne ukłucie w sercu. Oczywiście. Był zmysłowym, przystojnym mężczyzną, doświadczonym w sztuce miłości. Mnóstwo kobiet musiało zabiegać o jego

względy; pięknych, seksownych kobiet, obytych w wielkim świecie, który był przecież jego światem. A ona? Nawet jeśli nie była w jego typie, wiedział, że wkrótce wyjedzie i krótka, niezobowiązująca przygoda nie mogła mieć żadnego dalszego ciągu. „Wolę kobiety bardziej zaokrąglone i zdecydowanie bardziej uległe”. Czy nie wyraził się dostatecznie jasno? Boże, jak mogła być taka głupia?

W drodze do domu nie powiedziała ani słowa. On, na szczęście, trzymając ją luźno za rękę, zdawał się pogrążony we własnych myślach i odezwał się dopiero w holu, przed długimi, kręconymi schodami.

- Kotku...

- Nie nazywaj mnie tak!

- Słucham? - Lekki uśmiech zamarł mu na ustach, gdy zobaczył w jej oczach zimną wrogość.

- Nie mów do mnie „kotku”. Nie jestem niczym kotkiem, twoim też nie - wycodziła przez zaciśnięte usta. - To, że... - przerwała gwałtownie.

- To, że co? - spytał słodkim głosem.

- To, że wymieniliśmy kilka pocałunków, nie znaczy, że jestem gotowa wskoczyć do twojego łóżka.

- Wskoczyć do mojego łóżka? - Cofnął się o krok, krzyżując ręce na piersiach. Wyprostowany dumnie, w swoim pięknym arabskim stroju, z ciemnymi włosami połyskującymi w świetle oliwnej lampki, wyglądał jak sułtan karcący zbuntowanego niewolnika. - Nie stosowniej byłoby poczekać na zaproszenie?

- Nie to miałam... - zawiesiła głos. - To nie była propozycja.

- Na szczęście. - Mierzył ją pustym, obojętnym wzrokiem. - Bo zostałyby odrzucona. Nie chodzę z nikim do łóżka po pierwszej randce. To nie w moim zwyczaju.

Odwrócił się na pięcie i zniknął w labiryncie wielkiego domu, zanim Kit zdążyła otworzyć usta.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kit spała bardzo źle. Nie była pewna, czy dlatego, że przespała prawie cały poprzedni dzień, czy z powodu wrzącej w niej jak gorąca lava złości, czy też ostatecznie wytłumaczenie zdawało się najbardziej prawdopodobne -wszystkiemu winne było dręczące pożądanie, które rozbudził w niej Gerard. Zasnęła dopiero, gdy na niebie po jawiła się szara wstęga brzasku, a po dwóch godzinach obudził ją radosny głos Aminy i filiżanka mocnej kawy.

- *Sbah el khif.* - Po chwili Marokanka zaśmiała się przepraszająco, zasłaniając rękami usta.
- To znaczy dzień dobry, tak? Zejść na dół teraz, zaraz?
- Kit wytłumaczyła znaczenie swoich słów wyrazistą gestykulacją. - Chcesz, żebym zeszła na dół?

- *Waha*, tak, tak. Dół. Ty jeść.

Śniadanie o tej porze? Zerknęła nieprzytomnie na zegarek. Była dopiero szósta rano. Czy oni zawsze jedzą tu tak wcześnie?

Kiedy dziesięć minut później, po krótkim prysznicu, weszła z mokrymi włosami do jadalni, Gerard siedział ukryty za płachtą gazety, przy małym śniadaniowym stoliku, na którym ustawione były salaterki z krojonymi owocami, arabskie chlebki i konfitury. Ta scena tak bardzo kontrastowała z egzotycznym nastrojem poprzedniej nocy, że Kit stanęła oniemiała.

- Dzień dobry - odezwał się pierwszy, odłożywszy na jej widok gazetę.

Zauważyła, że jest w zwykłej koszuli i bawełnianych spodniach, ale nie wydał jej się przez to mniej pociągający niż wczoraj. Niestety... Ona natomiast włożyła dziś rano własne ubranie, które Amina uprała, uprasowała i powiesiła w jej garderobie.

- Będziesz musiała się przebrać, zanim wyjedziemy.

- Wyjedziemy? - W pierwszym odruchu pomyślała, że chce ją odstawić z powrotem do Casablanki, i na moment zamarło w niej serce. Zdenerwowało ją to bardziej niż jego słowa.

- Sądząc po tym, co wczoraj ustaliła policja na temat twojej tożsamości, należy uznać, że czas twojego pobytu w Marrakeszu jest raczej ograniczony - zaczął beznamiętnie, kiedy Amina wniosła parującą kawę i dzbanek soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy. - David Shore z pewnością będzie nalegał, żebyś spotkała się z nim jak najszybciej. Jednak, zanim wyjedziesz, żeby wrócić do swojego dawnego życia, chciałbym ci pokazać kawałek mojego kraju; Oczywiście, jeśli masz na to ochotę. Równie dobrze mogłaby ci towarzyszyć Colette. Jest co prawda bardzo zajęta z powodu swoich zaręczyn, ale dla ciebie zawsze znajdzie czas.

- Dobrze... - Była zbyt rozkojarzona i niewyspana, żeby wdawać się w słowne potyczki, poza tym, tak naprawdę, chyba chciała spędzić z nim ten dzień.

- Byłoby lepiej, gdybyś włożyła długą spódnicę i bluzkę z długimi rękawami, zasłaniającą całe ramiona. Wymaga tego od swoich kobiet religia islamska i chociaż ciebie to nie dotyczy, szanowanie miejscowych zwyczajów uznawane jest za akt uprzejmości.

- Rozumiem, oczywiście. Czy mogłabym zadzwonić po śniadaniu do Anglii?

- Nie sądzisz, że jest trochę za wcześnie? Wrócimy na kolację, więc może byłoby... rozsądniej, gdybyś zadzwoniła wieczorem?

Dość długo patrzyła na niego chłodnym, skupionym wzrokiem, zanim ponownie przytaknęła.

- Dobrze.

Dlaczego nie chciał, żeby zadzwoniła do Davida, zastanawiała się gorączkowo, nakładając na talerz plasterki arbuza. Jakże to mogło mieć dla niego znaczenie? Czy uważał, że im dłużej nie będzie miała kontaktów z zewnętrznym światem, tym łatwiej uda mu się ją uwieść? Ciekawe, jak długo, dokładnie, chciał ją tu trzymać. Zaproponował jej schronienie do czasu, kiedy zostanie ustalona jej tożsamość, ale na pewno nie było mowy o niczym więcej.

- To bardzo miłe z twojej strony, że mnie tu zaprosiłeś - zaczęła ostrożnie - ale teraz już wiemy, kim jestem, więc nie chciałabym nadużywać twojej gościnności...

- Bzdura - przerwał jej ostro, wyraźnie wyprowadzony z równowagi. - Dowiedziałaś się, kim jesteś, ale jeśli mogę mieć coś do powiedzenia, to pragnę zauważyć, że twoja sytuacja się nie zmieniła. Wciąż nie jesteś w stanie przypomnieć sobie podstawowych faktów ze swojego dawnego życia. Ten twój narzeczony David mógł cię bardzo źle traktować, może nawet bić. Niewykluczone, że to od niego uciekasz. Może to właśnie jego nie chcesz pamiętać?

- Nie wydaje mi się. - Patrzyła na niego w zdumieniu, po raz pierwszy widząc na jego twarzy tak silne wzburzenie.

- Nie wydaje ci się - powtórzył z zimną drwiną. - A niby dlaczego ci się nie wydaje?

- Bo sądzę, że nie zniosłabym, by ktokolwiek mnie aż tak źle traktował, żebym musiała uciekać - powiedziała gniewnie z wypiekami na policzkach. - A już na pewno nie ktoś, z kim jestem zaręczona.

- Być może - zniżył głos. - Ale dopóki mówisz o tym, co sądzisz, a nie o tym, co wiesz na pewno, myślę, że byłoby mądrzej, gdybyś została tutaj. Lekarze zapewniali mnie, że w przypadkach, kiedy w grę nie wchodzi fizyczne obrażenia, to tylko kwestia dni. Wystarczy jeden przebłysk, a wróci pamięć i będziesz taka jak dawniej. Poza tym... mam wrażenie, że nie usychasz z tęsknoty za tym Davidem.

- Przecież go nie pamiętam!

- Właśnie.

Kiedy godzinę później wyszli z domu, w suchym, rozgrzanym już powietrzu unosił się zapach rozmarynu, a na owocowych drzewach, tworzących gęsty szpaler wzdłuż drogi wyjazdowej, trwał jeszcze ptasi koncert. Już za bramą, na tle krystalicznie czystego nieba, widać było doskonale smukłą sylwetkę minaretu Kurubii, położonego w centrum Marrakeszu.

- Popatrz - Gerard zwrócił się do Kit łagodnym głosem. - To najświetniejszy zabytek Marrakeszu, podobno najwspanialszy przykład sztuki hiszpańsko-mauretańskiej. Jest dla tego miasta tym samym, co wieża Eiffla dla Paryża, albo Giralda dla Sewilli. Do Giraldy jest zresztą bardzo podobny, a z minaretów marokańskich przypomina wieżę Hassana w Rabacie.

Kit mruknęła tylko coś niewyraźnie, nie mogąc opanować wewnętrznego drżenia. Wszystkimi zmysłami, każdym swoim nerwem odczuwała bliskość jego masywnego ciała. Reagowała na każde poruszenie rąk na kierownicy, każdy gest głowy, z przymkniętymi oczami upajała się czystym, zmysłowym zapachem jego wody kolońskiej.

Wjechali na główną drogę, prowadzącą na południe w kierunku Tarudantu. Po półgodzinie kłopotliwego milczenia, kiedy samochód zaczął się wspinać łagodnymi serpentynami wzdłuż wartkiego strumienia rzeki Ourika, Gerard nie wytrzymał.

- Denerwujesz mnie.

- Słucham? - Odwróciła błyskawicznie głowę, ale on był skoncentrowany na prowadzeniu i tylko lekkim grymasem ust zareagował na zdziwienie w jej głosie.

- Powiedziałem, że denerwujesz mnie tym swoim niepokojem, to zaraźliwe. - Dopiero teraz spojrzał na moment w jej oczy. - Czego ty się po mnie spodziewasz, kotku, że jesteś taka wystraszona?

- Niczego się nie spodziewam - odpowiedziała słabym głosem.

- To dobrze. - Rzucił jej krótkie, ironiczne spojrzenie. - Już zacząłem się martwić, czy sprostam twoim oczekiwaniom w roli... Jak wy to mówicie...? Casanowy?

- Ty... - Nie znalazła niestety odpowiedniego określenia.

- Wiem, jestem dzikusiem, to chciałaś powiedzieć? -zadrwił bezlitośnie, a potem wybuchnął ciepłym, perlistym śmiechem, który przyprawił Kit o gęsią skórę.

- Nie pomyślałam, że jesteś dzikusiem - powiedziała ze ściśniętym gardłem, na próżno usiłując się skupić na widoku za oknem.

- Nie? Więc co naprawdę o mnie myślisz?

- Nie wiem... - Zerknęła na jego nieruchomy profil, szukając w popłochu właściwych słów.

- Myślę, że jesteś miły. Okazałeś mi tyle życzliwości...

- Miły?

Samochód szarpnęła gwałtownie w stronę pobocza. Gdyby nazwała go wcielonym diabłem, nie zareagowałaby z większą furją.

- Miłe to są stare kobiety - wycodził wściekle, przeczesując palcami włosy.

- Nie chciałam przez to powiedzieć, że...

- Że co? Dokończ śmiało.

- Nie chciałam powiedzieć, że nie widzę w tobie również innych cech.

- Na przykład jakich? - zapytał cichym, przymilnym głosem.

- No, więc... - Do diabła, to jakiś koszmar, myślała przerażona, czując, jak pąsowieją jej policzki. Co on chce usłyszeć? Że jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała? Że wystarczy jedno spojrzenie tych jego niesamowitych oczu i zaczyna drżeć jak galareta? - Nie powiem ci. I tak masz wystarczająco dobre samopoczucie.

- Ja... ? - Po kilku sekundach napiętej ciszy roześmiał się pogodnie i łypnął na nią kątem oka. - No dobrze, kot ku, punkt dla ciebie.

Ta szybka kapitulacja słusznie wydała jej się podejrzana, bo za chwilę Gerard dodał głębokim, aksamitnym głosem:

- Ale zakładam, że to, co miałabyś do powiedzenia, nie sprawiłoby mi wielkiej przykrości?

- Możesz sobie zakładać, co chcesz - burknęła.

- Posłuchaj, czy jeśli obiecuję, że będę zachowywał się... jak dżentelmen, mogłabyś przynajmniej spróbować zdobyć się na trochę luzu? - spytał kilka minut później, spoglądając na jej zaciśnięte kurczowo dłonie. - To jest wyjątkowo piękne miejsce i chciałbym, żeby ta wycieczka sprawiła ci przyjemność.

- Tak, chyba... - Na dźwięk swojego głosu wzdrygnęła się z niesmakiem. Jak ona mówi! Robi z siebie kompletną kretynkę! - Tak, zgoda - powiedziała bardziej stanowczo. - Umowa stoi?

- Stoi - odpowiedział poważnie, z lekkim drzeniem w głosie, na które Kit zareagowała podejrzliwym spojrzeniem, ale jego twarz nie zdradzała cienia drwiny.

Samochód mknął coraz szybciej, a ona przyglądała się, oczarowana, maleńkim wioskom wtopionym w niemal pionowe, ceglasterczerwone zbocza doliny.

- Wyglądają bardzo romantycznie - odezwał się Gerard, czytając w jej myślach - ale zapewniam cię, że życie tam jest morderką.

- Hmm... - Próbowała sobie wyobrazić spokojny żywot z dala od cywilizacyjnego zgiełku.

- Coś za coś. Ja mogłabym mieszkać w takim miejscu.

- W odpowiednim towarzystwie... ja też – powiedział z subtelną aluzją w głosie, która wywołała rumieniec na jej twarzy.

Po co on mówił takie rzeczy? I dlaczego sama wzięła się w taką rozmowę, a później reagowała jak naiwna panienka? Wiedziała, że dla niego to zwykła gra, chwilowe oderwanie się od codziennego życia; dlaczego nie mogła przynajmniej udawać obojętności? Milczała uparcie, coraz bardziej na siebie zła, aż samochód, minąwszy małą wioskę, zatrzymał się w miejscu, w którym urywała się droga, u wylotu skalnego wąwozu.

- Stąd musimy pójść na piechotę - Gerard odpowiedział na pytanie w jej oczach. - Urządzimy sobie krótki piknik. Amina zaopatrzyła nas w koszyk z jedzeniem.

- Ale... - Z zapartym tchem patrzyła na dziki, przepastny wąwóz, osłonięty spadzistymi stokami gór, wznoszącymi się wysoko ku niebu, i nagle poczuła się bardzo mała i zagubiona.

- Żadnych ale, mój bojaźliwy kotku. - Otworzył bagażnik i zaśmiał się pobłaźliwie, kiedy przeszła go jadowitym wzrokiem. - No dobrze, weź ten dywanik, a ja będę niósł koszyk.

Jeśli zamierzał ją uwieść, nie mógł wybrać lepszego miejsca, pomyślała, gdy zatrzymali się na kwiecistej polanie pod starym ogromnym cyprysem. Jego gęste konary, ścielące cień na miękkiej trawie, dawały schronienie przed słońcem, chociaż sam lekki wietrzyk sprawiał, że temperatura była znośna. Kiedy Gerard rozłożył na ziemi dywanik, Kit poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Usiądź i powiedz, co chciałabyś zjeść.

- Ja... - Nerwowym gestem rozłożyła ręce i usiadła bokiem, z podkurczonymi nogami. - Nie wiem, cokolwiek.

- Chodź, przysuń się - przemówił niskim, czułym głosem, patrząc na jej spiętą twarz. - Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Kiedy mi wreszcie zaufasz? Zjemy coś, pogadamy, będziemy grzać się w słońcu i po prostu rozkoszować chwilą lenistwa. No, już dobrze? - uśmiechnął się. - A teraz zajmijmy się tym koszykiem.

Rzucili się na sto i jeden smakołyków starannie zapakowanych przez Aminę: maleńkie, rozpływające się w ustach paszteciki z mielonym mięsem, siekanymi jajkami, serem i warzywami, pikantne kiełbaski jagnięce, kawałki duszonego w cytrynie kurczaka w glazurze z brązowego cukru, soczyste krewetki i delikatnego homara, sałatę, orzechowe arabskie bułeczki, francuskie rogaliki i najrozmaitsze owoce, wszystkie, jakie mogła sobie wyobrazić. A do tego znakomite czerwone wino o intensywnym owocowym aromacie, z posmakiem miodu i lata.

- Ja chyba pęknę. - Kit położyła rękę na swoim pełnym brzuchu. - Koniec obżarstwa, nie

wcisnęłabym w siebie nic więcej. - Dobre jedzenie i trzy ogromne kieliszki wina sprawiły, że poczuła się, jakby miała ciało z ołowiu.

Kiedy Gerard przysunął się do niej bliżej i ułożył jej głowę na swoim potężnym torsie i wyprostował nogi, wiedziała, że nie jest w stanie mu się oprzeć.

- Prześpij się - szepnął i pocałował ją w czubek głowy. - Jesteś wstawiona.

- Wstawiona? - Nie była w stanie nawet udawać oburzenia. Nigdy nie czuła się lepiej. I niczego nie pragnęła bardziej niż tego, żeby chciał się z nią kochać. Ta myśl powinna ją była przestraszyć, a wywołała zaledwie dreszcz niepokoju. Gerard miał rację: była wstawiona. Zachichotała cicho, wtulając się mocniej w jego ramiona. - Zrobiłeś to specjalnie?

- Co mianowicie? - Przekręcił delikatnie jej głowę, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy. - Nie wiem, czy pamiętasz, mój zachłanny kotku, że ostatnie dwa kieliszki nałałaś sobie sama.

- Racja, tak było - zachichotała znowu. - Ale nie powstrzymywałaś mnie.

- Nie jestem święty.

Kiedy przyłgął wargami do jej ust, nie bronila się, zatracając się w tym pocałunku z czystą, nie zmaconą niczym rozkoszą. Oprzytomniała, gdy Gerard jęknął boleśnie, uwolnił się delikatnie z jej objęć i usiadł.

- Idź spać, kotku.

- Dlaczego? - Wiedziała, że zachowuje się lekkomyślnie, ale nie dbała o to. Dostyc miała swojego lęku i samotności. Chciała wreszcie... Chciała być jego. -Chcę być twoja - wyszeptwała odważnie.

- Dopiero wtedy staniesz się moja, kiedy będziesz mnie pragnąć i duszą, i ciałem - powiedział smętnie.

- Pragnę cię teraz - zaprotestowała słabo, czując, że kręci jej się w głowie.

- Tak ci się zdaje. Ale to tylko wino. Przełamało lody na krótko. Właśnie taka powinnaś być, chcesz być taka, swobodna i naturalna, ale musisz odnaleźć prawdziwą siebie bez sztucznych bodźców.

- Ale... - Zmarszczyła z wysiłkiem czoło. - Ja niedługo wyjeżdżam, wiesz o tym, prawda? Jest David...

- Do diabła z Davidem! - wybuchnął niespodziewanie i w tej samej sekundzie przyciągnął ją do siebie i pogładził po włosach. - Przepraszam, nie bój się. Ale zapomnij na razie o Davidzie, skoncentruj się na mnie. Nie pozwolę ci wyjechać, dopóki nie dowiesz się, kim naprawdę jesteś, choćby nie wiem jak długo to trwało.

W jego głosie było coś, czego nie rozumiała, coś, co bardzo chciała zrozumieć. Przyglądała

mu się zamglonymi oczami, aż pokręcił bezradnie głową i zamknął pocałunkiem jej usta.

- Okropnie to wszystko utrudniasz... - Oddychał ciężko, błędząc rękami po jej ciele, czując, jak drży i garnie się do niego rozpaczliwie. Bliski granic wytrzymałości, odsunął się gwałtownie i ukrył twarz w dłoniach.

- Gerard...

- Nie mów ani słowa! - rozkazał ochryłym głosem i zerwał się na nogi. - Widzisz, co ze mną robisz? Zdaje się, że nie bardzo nad sobą panuję.

Po chwili napiętego milczenia podszedł do koszyka, wyjął butelkę i pociągnął długi łyk lodowatej wody.

- Robi się późno. - Spojrzał na zegarek, a potem z naj-obojętniejszą miną, na jaką mógł się zdobyć, popatrzył w jej smutne, niespokojne oczy. - Chciałbym, żebyś obejrzała festyn na placu Djemaa el Fna, więc zacznijmy się zbierać.

- Gerard? - odezwała się ledwie słyszalnym szeptem. - Co ja złego zrobiłam?

- Ty? Nic. - Uśmiechnął się cierpko. - Podobno każdy ma swoje Waterloo, kotku, ale zawsze trudny jest moment, w którym człowiek zdaje sobie z tego sprawę.

- Nie rozumiem - mruknęła skonsternowana.

- Nie szkodzi. Po prostu wierz mi, kiedy mówię, że czas się zbierać, to wszystko.

Po prawie nie przespanej nocy wino zrobiło swoje i w drodze powrotnej Kit zapadła w głęboki, kamienny sen. Obudziła się z trudem, gdy dojeżdżali do placu Dje-maa el Fna. Mglisty przedwieczorny półmrok rozświetlały gazowe lampy, ustawione wzdłuż średniowiecznych murów obronnych okalających stare miasto.

- Jak się czujesz? - spytał Gerard, zatrzymawszy samochód.

Spojrzała na niego błędnym wzrokiem i nagle wszystkie wydarzenia minionego popołudnia stanęły jej przed oczami z upokarzającą jasnością. Rzuciła się na niego! Całkiem dosłownie rzuciła się na niego. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię ze wstydu, musiała jednak zebrać siły i odpowiedzieć normalnym głosem, który nie zdradziłby jej wzburzenia.

- Dobrze - uśmiechnęła się pogodnie. - A ty?

- Też dobrze - odpowiedział spokojnie, z nieprzeniknioną twarzą. - Wyjdziemy na chwilę?

Zanim doszli do placu, oszołomił ją gwar i zapach jedzenia. Widziała popisy tancerzy i zaklinaczy węży, poły-kaczy mieczy i ognia, słyszała grę muzyków na kolorowych skrzypcach, zauważyła krążących w zbitym tłumie żebraków i rzemieślników pod parasolami zachwalających swoje wyroby, a obok stali bजारze - od nadmiaru

wrażen łatwo było dostać zawrotu głowy. Na ustawionych co krok rusztach skwierczały małe

rybki, w niezliczonej ilości niewielkich kramów handlarze sprzedawali sztylety, fajki do palenia haszyszu, teksty koraniczne i tysiące innych przedmiotów, nie wyłączając jarmarcznie tandetnych, kolorowych portretów rodziny królewskiej.

Gdy przeciskali się przez falujący tłum ludzi, Kit była bezgranicznie wdzięczna Gerardowi za to, że obejmował ją mocno ramieniem. Często spoglądała na jego obojętną, niemal apatyczną twarz, zastanawiając się, o czym myśli. Czy bliskość jej ciała robiła na nim jakieś wrażenie? Czy czuł to, co ona? Szczerze w to wątpiła.

Kiedy dotarli do końca bazaru - oglądając po drodze rzemieślników, którzy na oczach przechodniów zdobili złotem skórę, pokrywali różnokolorową emalią pochwy sztyletów, inni wykuwali naczynia z miedzi albo obrabiali drewno cedrowe - rozległ się zawodzący śpiew muezinów wzywający wiernych do wieczornej modlitwy. Wiele osób natychmiast oderwało się od swoich zajęć na placu i ruszyło do meczetu. Zgiełk powoli zamierał.

- Miałam cudowny dzień - powiedziała z uśmiechem Kit, gdy wrócili do samochodu.

- Świetnie. - Poczekał, aż się usadowi wygodnie, i spojrzał jej w oczy. - A zamierzasz poinformować o tym Davida?

- Słucham...?

- Spytałam, czy opowiesz swojemu... narzeczonemu, jak miło spędziłaś ten dzień.

- Oczywiście.

- A jeśli on uzna za dziwne to, że za nim nie tęsknisz, że spędziłaś całkiem szczęśliwie dzień w towarzystwie innego mężczyzny? - Zaborczym gestem odgarnął z jej policzka kosmyk włosów.

- Nie wiem, dlaczego miałby się zdziwić...

- Nie? - Pokręcił głową, a potem pocałował ją delikatnie w usta i uruchomił silnik. - W takim razie jesteś albo tak naiwna i niedoświadczona, jak coraz częściej zaczynam cię o to podejrzewać, albo przerażająco bezduszną. Gdybym ja był na tyle głupi, żeby pozwolić ci wyjechać beze mnie, zabiłbym pierwszego faceta, który spojrzałby na ciebie z pożądaniem. - Mówił tak bardzo opanowanym, zimnym głosem, że znaczenie tej deklaracji nie od razu do niej dotarło. Dopiero po chwili przeszył ją dreszcz wzdłuż kręgosłupa i wzruszenie ścisnęło za gardło.

- To śmieszne. - Drżącymi rękami zapięła pasy i modliła się o opamiętanie.

- Nie. To jest... - przerwał gwałtownie. - To jest coś zupełnie innego.

Samochód ruszył z miejsca, a ona jeszcze długo wstrzymywała oddech w dręczącym oczekiwaniu.

Droga do Del Mahari zajęła im tylko kilkanaście minut. Gerard zaprowadził Kit do gabinetu, z którego miała zadzwonić do Anglii. Bardzo chciała, żeby wyszedł, ale on usiadł za masywnym biurkiem, zamówił rozmowę i wskazał jej fotel. Była przerażona. Co poczuje, gdy usłyszy głos Davida? Głos, który powinna znać bardzo dobrze?

- Proszę. - Gerard przysunął jej telefon. - Odbierz, dzwoni.

- Halo? Mówi Emma.

- Emma? - Radosny głos wydał jej się znajomy, ale na tym koniec. Nabrała głęboko powietrza, kątem oka widząc, że Gerard zaczyna przeglądać jakieś papiery. - To ja, Samantha.

- Samantha! Od kiedy używasz tego imienia? Och, przepraszam... Zapomniałam. Kochanie, jak ty się czujesz? Zamartwialiśmy się o ciebie. Przypomniałaś już sobie coś?

- Niezupełnie. Posłuchaj, Emma, wiem, że to pytanie cię zdziwi, ale jakiego imienia używam?

- Kit. Wszyscy mówią do ciebie Kit. Nienawidzisz Samantha. - Po chwili kłopotliwego milczenia Emma zaczęła mówić zgaszonym, niepewnym głosem. - Posłuchaj, Kit, jest kilka rzeczy, o których powinnam ci powiedzieć. Czy ty... - Przerwał jej głośny huk, jak gdyby telefon spadł na podłogę, a potem odezwał się męski głos.

- Kit? Tu David. Od dwudziestu czterech godzin praktycznie nic nie robię, tylko czekam na twój telefon.

- Ach, tak? - Ten skomlący głos, z nutą pretensji gdzieś w tle, nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Spojrzała na Gerarda, który siedział nieruchomo za biurkiem i zdawał się całkowicie pochłonięty lekturą. Zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć, i nic, kompletnie nic nie przychodziło jej do głowy. - Co u ciebie, Davidzie?

- Co u mnie? - Ton skargi stał się bardziej wyraźny. - Do diabła, Kit, a jak myślisz? Wyjechałaś sobie na wakacje, nie zostawiając nam żadnej wiadomości, i pytasz, co u mnie? - W tle odezwał się kobiecy głos i David nagle zaczął mówić ciszej. - Dobrze, dajmy temu spokój. Czy to prawda, że nadal nic nie pamiętasz?

- Niestety.

- To się nazywa mieć pecha. Powiedz, jak to dokładnie się stało?

Wyjaśniwszy mu okoliczności wypadku, czekała na nieuniknione pytanie, a kiedy ono padło, musiała wziąć głęboki oddech.

- Tak, Davidzie, wciąż mieszkam w domu Gerarda Dumonta. On mi bardzo pomógł.

- Tak? - Zamilkł na moment. - A w jakim wieku jest ten dobry Samarytanin?

- Nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Może zadzwonię kiedy indziej.
- Kiedy indziej? Myśleliśmy z Emmą, że niedługo wrócisz. Nie ma chyba sensu, żebyś siedziała tam dłużej. Zobowiązaliśmy się zapłacić za twój bilet, gdyby nie znalazła się torba...
- To nie będzie potrzebne. Na szczęście paszport i bilet, i kilka innych dokumentów zostawiłam w hotelowym sejfie. Policja powiedziała panu Dumontowi, że wszystkie sprawy formalne są załatwione.
- Rozumiem. W takim razie, kiedy wracasz do domu?
- Niedługo. Nie mogę ci podać dokładnej daty.
- Tęsknię za tobą, Kit. - Postanowił najwyraźniej zmienić taktykę. - Kochanie, nie masz pojęcia, jak bardzo mi ciebie brakuje. A ty za mną tęsknisz? - Znowu Emma musiała przywołać go do porządku. - Och, przepraszam, głupie pytanie, biorąc pod uwagę okoliczności... Ale wciąż jestem twoim narzeczonym, Kit. To chyba pamiętasz?
- Chyba tak. - Zaczęło łomotać jej w głowie. To było sto razy gorsze, niż się spodziewała.
- Więc powiedz, że mnie kochasz. Proszę cię, Kit, nawet jeżeli nic nie pamiętasz, zrób to dla mnie.
- Nie mogę, Davidzie. Może kiedy się zobaczymy?
- W porządku - odpowiedział nadąsanym tonem, który wywołał w niej jakieś niejasne, przykre skojarzenie i sprowokował do zadania Davidowi pytania.
- Powiedz mi, dlaczego ja nie noszę pierścionka zaręczynowego? - Zapadła głucha cisza, tak długa, że przez moment myślała, że zostało przerwane połączenie. - Davidzie? Słyszysz mnie? Czy miałam jakiś pierścionek?
- Tak - odpowiedział łagodnym, nienaturalnie łagodnym i cierpliwym tonem, jakiego używa się wobec małych dzieci, które niechcący coś zbroiły. - Ale jest teraz u jubilera, kochanie. Kamień był trochę za luźno obsadzony.
- Naprawdę? - Zmarszczyła z wysiłku czoło. Obraz wyłaniający się z głębi świadomości stawał się coraz wyraźniejszy. To był pierścionek z brylantem... piękny pierścionek z brylantem, który komuś oddawała... Ale jednocześnie z tym obrazem pojawiło się uczucie niesmaku, złości, a nawet furii. - Czy to był brylantowy soliter?
- Tak.
- Zastanawiała się, co może znaczyć to nagłe zażenowanie w jego głosie...
- Kit? Ta rozmowa musi kosztować pana Dumonta fortunę, może nie będę cię dłużej męczył. Kocham cię, skarbie.
- Do widzenia, Davidzie. - Nie mogła, po prostu nie mogła powiedzieć, że też go kocha. -

Zadzwoń, jak tylko zarezerwuję sobie bilet.

Odłożyła powoli słuchawkę, nie spoglądając na milczącą przy biurku postać. Kiedy rozmawiała z tamtym człowiekiem, nie czuła nic poza lekkim zakłopotaniem, a przecież - jeśli mówił prawdę, w co nie miała powodu nie wierzyć - obiecała kiedyś spędzić z nim resztę życia. Nie może tak dłużej żyć. Po prostu nie może. Lekarze muszą chyba coś na to poradzić?

- I co? - Usłyszała surowy głos Gerarda. - Jakiego używasz imienia?

- Kit. Mówią do mnie Kit. Zdaje się, że lubię to imię.

Mruknął coś niewyraźnie i podszedł do niej wolnym krokiem.

- Ciekawe... Mój „kotek” trochę przypomina imię, które ci się podoba. Rzecz w tym, że to nie David tak do ciebie mówi, prawda? - Nie odrywał wzroku od jej poblądłej twarzy. - I na tym polega problem.

- Być może. - Wzruszyła lekko ramionami, nie bardzo wiedząc, jak powinna zareagować.

- Być może. - Pokiwał głową. - A on, ten zamartwiający się, nad wyraz troskliwy David? Nie wyjaśnił ci, dlaczego nie przyleciał tu pierwszym samolotem, kiedy dowiedział się o wypadku?

- Słucham? - Zbita z tropu, otworzyła szeroko oczy.

- Nie powiesz chyba, że taka myśl ani razu nie przeszła ci przez głowę?

- Nie, nie myślałam o tym. - Powiedziała to z tak naiwną szczerością, że musiał jej wierzyć.

- Więc tego rodzaju letnie uczucie, które okazuje ci przyszły mąż, zadowala cię?! Nie wierzę.

- Nawet nie wiem, co mnie zadowala, a co nie... - powiedziała cicho, marszcząc z wysiłkiem brwi, jak gdyby szukała najwłaściwszych słów. - Wydaje mi się, że przywykłam do samodzielności, do tego, że zawsze sama rozwiązuję swoje problemy. Nie oczekuję od nikogo, żeby się o mnie martwił. I nie sądzę, żeby kiedykolwiek był ktoś, kto to robił.

- *Mon Dieu...* - Chwycił ją za rękę, nie próbując nawet ukryć wzburzenia. - Powinnaś tego oczekiwać! Niech to szlag... - Potrząsnął nią lekko. -1 ty myślisz, że pozwolę ci do tego wrócić? Coś tu jest nie tak, to jakiś koszmar...

- Mam Davida. - Nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała, bo nic gorszego nie mogła zrobić.

- Jakiego Davida? - wycedził z lodowatą pogardą. - Ach, oczywiście, angielskiego Davida.

- Oczy mu pociemniały i w tej samej sekundzie przyciągnął ją gwałtownie do siebie i przyłgął wargami do jej ust.

Ogarnął ją obezwładniający strach i nagle czysta zmysłowa przyjemność wyparła wszystkie inne uczucia. Całował ją jak szaleniec, błdził silnymi rękami po jej ciele, wzniecając żar wszędzie tam, gdzie jej dotknął.

- A twój David? - spytał ponuro, łapiąc oddech. - Myślisz, że z nim będziesz czuła to samo?

- Nie wiem - jęknęła, uciekając wzrokiem od jego rozplamionych oczu.

- A ja wiem. - Odsunął ją od siebie i opuścił ciężko ręce. - Niełatwo o mnie zapomnisz, kotku. Nie zapomnisz mnie nigdy.

- Powinam...

- Nic z tego - powiedział cicho. Jego oczy mieniły się wszystkimi odcieniami złota, a w zaciętym grymasie ust było coś okrutnego. - Nie pozwolę ci odejść.

Kiedy wybiegła z pokoju, usłyszała na schodach, jak wypowiadał głośno jej imię, ale nie zatrzymała się i nie odwróciła głowy. Wpadła do swojej sypialni i niemal bez tchu rzuciła się na łóżko.

Czego on od niej chciał? A czego innego mógł chcieć! Zapaliła nocną lampkę i podeszła na miękkich nogach do ogromnego lustra. Ale dlaczego? Co go w niej pociągało? Nie była piękna, wiedziała o tym. Ale myśl, że chciał się z nią po prostu zabawić, bo była na wyciągnięcie ręki, wydawała się coraz mniej logiczna. Widziała dzisiaj, jak przyciąga wzrok wszystkich kobiet na ulicy. Widziała na własne oczy i nie mogła tego znieść. Na pstryknięcie palcem, mógłby mieć każdą z nich!

Znajdowała tylko jedno wytłumaczenie: Gerard uważał ją za trudną do zdobycia i właśnie to go podniecało. Samczy instynkt myśliwski - to musiało być to... Wróciła do łóżka, ściskając rękami pulsujące bólem skronie. Nienawidziła go za to. Zaciśnęła zęby, żeby się nie rozplakać. Naprawdę go nienawidziła.

Leżała długo w chłodnym pokoju, z silnym postanowieniem, że nie uroni ani jednej łzy. Dopiero gdy usłyszała nieśmiałe pukanie do drzwi, wstała, ociągając się, żeby je otworzyć. W progu stała Halima z kolacją na tacy.

- Pani jeść tutaj? - spytała niepewnie. - Ja przynieść, tak?

Kit odsunęła się na bok, żeby ją wpuścić, zapaliła światło nad drzwiami i jęknęła z wrażenia na widok wielkiego krwawego siniaka na policzku tej ładnej kobiety.

- Halima? - chwyciła ją za ramiona i odwróciła twarzą do światła. - Co ty sobie, do licha, zrobiłaś?

- Ja nie rozumiem. - Halima wbiła oczy w podłogę. - Pani jeść, tak?

- Do diabła z jedzeniem. - Zabrała jej tacę i postawiła na łóżku. - Twoja twarz, Halima. -
Dotknęła własnego policzka. - Co się stało?

- Ja upaść - wybąkała, nie podnosząc wzroku. - Ja teraz iść.

- Upadłaś? - Coś tu było nie tak. Włosy zjeżyły jej się na karku i doznała dziwnego uczucia, że była już kiedyś w takiej sytuacji, że prowadziła identyczną rozmowę. -Jak, gdzie?

- Ja nie rozumieć. Ja teraz iść.

Kiedy Halima podniosła w końcu głowę, Kit wyczytała w jej oczach niemą odpowiedź. Ta kobieta doskonale rozumiała, ale bała się mówić.

- Halima, proszę cię. Jak to się stało?

Kit poczuła, że zaczyna się trząść jak w febrze. Była pewna, że Halima nie upadła. Ktoś jej to zrobił, skrzywdził ją, brutalnie pobił.

- Ja iść.

Nie zatrzymała jej tym razem, ale gdy zamknęły się drzwi, stała długo, patrząc nieruchomo w przestrzeń i czując, jak strach zamienia się w dreszcz i przebiega jej po skórze. Musiała sobie przypomnieć. To było ważne. Musiała. Przycisnęła dłonie do skroni, ale czarna skrzynka w jej głowie nie chciała ujawnić swojego sekretu. To był klucz do jej amnezji, musiała tylko znaleźć drzwi, do których by pasował.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego dnia gong wzywający na śniadanie obudził Kit o dziewiątej rano. Zdziwiła się, że przespała całą noc. Nie spodziewała się tego, ale zmęczenie całodzienną wycieczką i wyczerpanie psychiczne podziałały jak środek usypiający. Kiedy jednak weszła do jadalni i nikogo w niej nie zastała, poczuła znajomy skurcz w żołądku.

- Cześć, ranny ptaszku! - Colette przyłączyła się do niej chwilę później. Była promienna, z błyszczącymi włosami związanymi w koński ogon, ubrana w luźną kolorową tunikę. - Jak się udał wypad w plener?

- Wspaniale - odpowiedziała z wymijającym uśmiechem. - Ale wróciłam strasznie zmęczona.

- Wierzę. Na szczęście dzisiaj masz wolne. Gerard pojechał do miasta załatwiać jakieś sprawy i nie będzie go cały dzień. Prosił, żebym cię zabawiła pod jego nieobecność. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Colette zaczęła nakładać sobie pełną miseczkę owoców, a Kit w tym czasie zastanawiała się, czy powinna wspomnieć jej o Halimie. Wahala się długo, ale wciąż miała przed oczami siną, opuchniętą twarz Marokanki. Nie mogła myśleć o niczym innym.

- Colette? - Sięgnęła po dzbanek z kawą, usiłując nie pokazać po sobie żadnych emocji. - Halima miała wczoraj na twarzy wielkiego siniaka. Czy wiesz, jak to się stało?

- Naprawdę? - Colette zrobiła zdziwioną minę. - Wieczorem, przed waszym powrotem, nic jej nie było, poza tym, że miała jakieś kłopoty z najmłodszym dzieckiem.. . zdaje się, że chodziło o ból żołądka. Może upadła?

- Właśnie to mi powiedziała. - Kit spojrzała otwarcie w zielone, przepiękne oczy Colette. - Ale ja jej nie wierzę.

- Nie? Ale dlaczego miałyby kłamać w takiej sprawie? Wypadek to wypadek, może się zdarzyć każdemu.

- Jeśli to był wypadek.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Colette wyprostowała się, łyżeczka zawisała nad stołem, w połowie drogi do jej ust. - Myślisz, że ktoś ją pobił? Ale to śmieszne, kto mógłby to zrobić?

- Jesteś pewna, że przed naszym powrotem wyglądała normalnie? - zapytała z namysłem Kit.

- Najzupełniej. Zjadłam wczesną kolację, zimne mięso i sałatę, bo nie wiedzieliśmy, o której wrócicie, potem zadzwonił Gerard, żeby powiedzieć, że po mnie jedzie. Do tego czasu nic jej nie było.

I wtedy ona wróciła z Gerardem do domu. Pokłócili się. On był wściekły. Ale nie zrobiłby tego. Niemożliwe. Odsunęła od siebie czarne myśli. To, co jej przyszło do głowy, było zbyt straszne.

- Może rzeczywiście upadła. - Zmusiła się do uprzejmego uśmiechu i sięgnęła po filiżankę.
- Na pewno.

Obie spędziły dzień na wewnętrznym dziedzińcu, rozmawiając albo pławiąc się w milczącym lenistwie. Kit przekonała się po raz kolejny, że Colette, ze swoją naturalną swobodą i łatwością obcowania z ludźmi, była całkowitym przeciwieństwem Gerarda, i z każdą upływającą godziną czuła do niej coraz większą sympatię. Nastrój sielankowego spokoju trwał do chwili, kiedy Colette, późnym popołudniem, została wezwana do telefonu.

- To był Gerard - powiedziała z uśmiechem, wracając na swój szezlong, ustawiony pod wielką afrykańską paprocią. - Był na lunchu z Claude'em i chce nas wszystkich zabrać na kolację. Mamy być gotowe o siódmej.

- Ooo... - Kit zaświtało w głowie niejasne podejrzenie. Czy to był czysty przypadek, że Gerard spotkał się na lunchu z narzeczonym Colette, czy też doszedł do wniosku, że zapraszając również ich dwoje, postawi ją w sytuacji, w której nie będzie mogła odmówić mu swojego towarzystwa? - Czy oni często jedzą razem lunch?

- Dość często. Prowadzą wspólne interesy. To przez Gerarda poznałam Claude'a.
- Rozumiem.

A więc mogło chodzić o spotkanie w interesach, nie mające z nią nic wspólnego. Powinna poskromić swoją wyobraźnię. Zagalopowała się w rojeniach, że jest dla niego kimś ważnym.

- Gerard pytał, czy coś sobie przypomniałaś.
- Nie, nic konkretnego, czasami tylko jakaś niejasna, dziwna myśl wpada mi do głowy i zaraz ucieka.

- No, tak... - Colette położyła się i zamknęła oczy. - Jeszcze dziesięć minut i chyba zaczniemy się szykować. Restauracja, w której Gerard zamówił stół, mieści się w starym mauretańskim pałacu i dają tam niezłe występy. To oczywiście miejsce głównie dla turystów, ale muzyka i tańce arabskie są na najwyższym poziomie, naprawdę wspaniałe. Gerard ma nadzieję, że jako jego gość będziesz zadowolona.

Colette na pewno nie miała nic szczególnego na myśli, ale te słowa uświadomiły Kit z brutalną ostrością, że jej obecność w życiu Gerarda i jego siostry jest tylko chwilowa i mało istotna. Jest po prostu miłym gościem. Turystką, nikiem więcej. To prawda, była turystką, na dodatek kompletnie nieodpowiedzialną, jeśli nie żalną. Co by się z nią stało, gdyby na

miejszu wypadku nie pojawił się Gerard i nie zaopiekował się nią w taki sposób, jak to zrobił - na przekór jej samej? Przeszył ją lodowaty dreszcz. I co się z nią stanie teraz?

Szykując się do wyjścia, zastanawiała się, dlaczego zadbanie o swój wygląd sprawia jej trudność, dlaczego nie przychodzi to w sposób naturalny. Nałożyła tylko odrobinę brązowego cienia na powieki, przeciągnęła tuszem długie rzęsy, i nagle, patrząc w lustro, poczuła się nieswojo, jakby w zupełnie obcej skórze. Myślała o zmyciu makijażu, gdy do pokoju weszła Colette.

- Gotowa? - W czarnej wąskiej sukni z lśniącego jedwabiu, z burzą miedzianorudych włosów opadających swobodnie na ramiona wyglądała olśniewająco. Jej wielkie oczy, obrysowane jaskrawozieloną kredką, powinny robić szokujące wrażenie, a były tylko jeszcze piękniejsze. - Nie zrobisz sobie żadnego makijażu?

- Zrobiłam. - Kit sięgnęła ręką do oczu. - Ale chciałam to zmyć, źle się z tym czuję.

- Bzdura. - Po raz pierwszy wyszło z niej uderzające podobieństwo do Gerarda. - Masz piękne rysy twarzy, cudowne oczy, ale nic z tym nie robisz, naturalną urodę trzeba umieć podkreślić. Poczekaj... - Chwyciła pędzel do makijażu, zanurzyła go delikatnie w perłowym pudrze i przeciągnęła skośnym ruchem po kościach policzkowych. Odsunęła się, żeby ocenić efekt, i mruknęła, wyraźnie zadowolona. - A teraz więcej cienia na powieki i odrobinę pod oczy. Spróbuj tej szminki, mam nadzieję, że ciemna śliwka to twój kolor.

Kit zobaczyła w lustrze nową twarz, niewiarygodnie piękną twarz, i zanim zdążyła zaprotestować, wzrok Colette skierował się na leżącą na łóżku bawełnianą sukienkę, w zgaszonym bladozielonym kolorze, z długimi rękawami i dekoltem pod szyję.

- Chyba nie masz zamiaru ubrać się w coś takiego? - spytała z przerażeniem w oczach.

- Uważasz, że jest niewłaściwa na tę okazję?

- Daj spokój. - Colette machnęła lekceważąco ręką.

- To nadaje się na lunch w mieście, a nie na wieczorowy strój, dziewczyno! Już wiem!

Chwilę później wróciła z garderoby z krótką koktajlową sukienką z karmazynowego aksamitu.

- To jest twój kolor, zdecydowanie twój kolor - powiedziała wolno, z satysfakcją w głosie.

- Spójrz tylko, co on robi z twoimi włosami. Dopiero teraz zauważyłam, że mają tak zdecydowanie rudy odcień.

- Posłuchaj, nie wydaje mi się...

Colette, głucha na jej nieśmiały sprzeciw, bez słowa wręczyła Kit sukienkę.

- Nałóż to na siebie. - Widząc, że się waha, spojrzała na zegarek. - Jesteśmy spóźnione, nałóż to.

- Ale...

- Żadnych ale. - Gdy Kit posłusznie się przebrała, Colette obejrzała ją od góry do dołu, zatrzymując się wzrokiem na okrągłym dekolcie. - Coś by ci się przydało... wiem. - Wybiegła z pokoju i wróciła za pół minuty z parą koronkowych złotych kolczyków. - Wyjmij z uszu te świeczki i nałóż to - rozkazała, cofając się z przechyloną na bok głową, żeby ocenić ostateczny efekt swoich zabiegów. - Wyglądasz rewelacyjnie. Gerard padnie z wrażenia.

- Colette! - Lecz nagle Kit zaśmiała się. Wkrótce stąd wyjedzie i nie zobaczy go nigdy więcej. Być może zapamięta ją taką jak teraz... jeśli w ogóle kiedykolwiek o niej pomyśli. I raptem, chociaż wiedziała, że to szaleństwo, mrzonka, zaczęło jej rozpaczliwie zależeć, żeby choć od czasu do czasu o niej myślał.

- Chodź. - Colette chwyciła ją mocno pod rękę, jak gdyby wyczuwała jej zdenerwowanie. - Claude czeka na dole. Gerarda zatrzymały jakieś ważne sprawy, ale jest już w domu i zaraz do nas zejdzie.

On też był na dole. Obaj mężczyźni czekali na nie w wielkim holu i kiedy Gerard spojrzał w górę i zatrzymał na niej zdziwiony wzrok, zamarło w niej serce. Maskę jego zazwyczaj chłodnej twarzy rozświetlało od wewnątrz silne pożądanie. Nie powinna się była tak ubierać, nie powinna była pozwolić Colette na ten eksperyment. Nie chciała go prowokować, nie chciała, żeby jej pragnął, nie chciała...

- Kit. Zaparło mi dech na twój widok. - Nie żartował.

- Wyglądasz pięknie.

- Chciała włożyć jakąś zieloną, burą kieckę... - Colette zaczęła paplać radośnie, ale on, wpatrzony w Kit, zdawał się jej nie widzieć i nie słyszeć. - W tym wygląda dużo lepiej, prawda? - Nie doczekawszy się żadnej reakcji, trąciła Gerarda łokciem. - Może przedstawiłbyś jej

Claude'a?

- Oczywiście, przepraszam.

Dojazd taksówką do restauracji, w której Gerard zamówił stół, zajął im piętnaście minut i przez cały ten czas Kit siedziała napięta jak struna. Gerard był chłodny i opanowany. W doskonale skrojonym jasnoszarym garniturze i w jedwabnej koszuli w kolorze starego złota wyglądał równie naturalnie i swobodnie jak w domowych arabskich szatach. Zerknęła na niego spod przymrużonych powiek, kiedy minęli starą bramę miejską i aleję wysadzaną drzewami pomarańczowymi. Jechali w kierunku rysującej się w oddali masywnej budowli.

Nawet teraz, gdy wydawał się odprężony, było w nim coś despotycznego, coś, co wyprowadzało ją z równowagi. Nie lubiła jego władzy i siły, jego aroganckiej męskości - bała się tego. Zamrugnęła nerwowo, kiedy spojrzał na nią chłodnym, badawczym wzrokiem, i odwróciła głowę.

- Jesteś taka zamyślona...

W tym lekkim, swobodnym tonie nikt inny oprócz niej nie doszukiwałby się drwiny, ale jej więcej mówiły jego oczy. Był zirytowany, bo wyczuł jej niechęć.

- Zamyślona? Nie, nie bardzo... - Odwróciła spojrzenie od okna, zadowolona, że nie są sami. - To ta restauracja?

- Tak.

Kiedy wyszli z taksówki, Gerard ujął ją mocno pod rękę, nim zdążyła zaprotestować.

- Jesteś ze mną - szepnął jej do ucha. - Czy ci się to podoba, czy nie, rozumiemy się?

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Próbowała odwrócić się od niego twarzą, ale przytrzymał ją stalowym uściskiem, zmuszając, żeby została u jego boku.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi - powiedział tym samym niskim szeptem. - On jest w Anglii, a ja tutaj, i niech mnie szlag trafi, jeśli dzisiaj będę grał drugie skrzypce. Jesteś ze mną, Kit. Musisz pogodzić się z tym faktem.

Lód w jego głosie zmroził jej krew, ale po chwili przyłączyli się do nich Colette z Claude'em i we czwórkę, pogodni i ożywieni, weszli po marmurowych schodach do środka.

Restauracja mieściła się w starym pałacu w stylu andaluzyjskim, zbudowanym wokół ogromnego patio, ozdobionego roślinami i fontannami. Idąc szerokim, sklepionym korytarzem mijali potężne rzeźbione drzwi, zza których dochodził gwar i odgłosy pracy, wskazujące na to, że część pomieszczeń na parterze została zaadaptowana na gigantyczną kuchnię. Właściwa restauracja była na pierwszym piętrze, tam gdzie w dawnych czasach znajdowała się najpewniej główna komnata audiencyjna. Pokryte patyną wieków ściany zdobiła kolekcja broni, uwagę przyciągały finezyjnie rzeźbione nadproża, pokryte ozdobnym pismem i motywami roślinnymi. Mimo że ogromna sala była prawie wypełniona, panował w niej nastrój relaksującej swobody i przestronności. Na jednym fragmencie muru, w odległym końcu komnaty, wisiały kolorowe berberyjskie dywany ze Środkowego i Wysokiego Atlasu, w charakterystycznej czerwono-złotej tonacji, tworzące wyrazisty kontrast z innymi, spokojniejszymi ścianami. Główną, centralnie usytuowaną pionową płaszczyznę, tworzył ciąg delikatnych stiukowych arkad, w górnej części otwartych na ukwiecony dziedziniec, w dolnej - przysłoniętych ozdobnym szkłem. Właśnie tam poprowadził ich Gerard i zanim usiedli do

stołu, zjawił się uśmiechnięty kelner.

- Pozwolisz, że coś dla ciebie wybiorę? - Gerard zwrócił się po chwili do Kit, gdy wyraźnie skonsternowana wpatrywała się w menu napisane w kilku językach, z których żaden nie był angielskim.

- Proszę. - Uniosła głowę, żeby podziękować mu uśmiechem, ale on patrzył gdzieś indziej. Zauważyła grupę ośmiu lub więcej osób, które właśnie weszły do restauracji. Jedna z kobiet, nieco wyższa i zdecydowanie ładniejsza od pozostałych, jak gdyby wyczuła jego obecność, odwróciła się raptownie w ich stronę i promiennym błyskiem w oczach odpowiedziała na jego skinienie. Potem pomachała ręką i w ślad za resztą towarzystwa ruszyła do stolika w odległej części sali, dwukrotnie odwracając jeszcze głowę.

- Nasi przyjaciele - wyjaśnił krótko Gerard.

- A kobieta w zielonej sukni to Zita - dodała cicho Colette. - Pewnie zaraz tu przyjdzie.

- Murowane - mruknął z przekąsem Claude.

Gerard nie odezwał się, patrzył przed siebie nieprzeniknionym wzrokiem. Kit nie musiała o nic pytać, bardziej niż kiedykolwiek wierzyła własnej intuicji.

Zita zjawiła się już po pięciu minutach. Kit ze ściśniętym sercem pomyślała, że z bliska jest jeszcze piękniejsza. Czarne oczy w kształcie migdałów kontrastujące z jasną karnacją, wydatne czerwone usta, czarne jedwabiste włosy spięte w elegancki kok na czubku głowy... Naprawdę robiła wrażenie. I ta figura! Pełne piersi, talia osy i najdłuższe nogi, jakie Kit kiedykolwiek widziała u kobiety.

- Gerard... - Doskonale wykrojone wargi rozchyliły się w ponętym uśmiechu. - *Comment vas-tu?* - Mówiła do niego po francusku.

Kit zamknęła oczy. Powinna była przewidzieć.

- Dziękuję, wszystko dobrze. - Gdy obaj mężczyźni wstali, Gerard wskazał uprzejmym gestem Kit. - Pozwól, że ci przedstawię Kit. Jest naszym gościem w Del Mahari. - Kit, poznaj Zitę.

Wiedziała, co łączy tych dwoje. Sposób, w jaki Zita położyła rękę na jego ramieniu, żartobliwy grymas ust, przeciągłe spojrzenie... Nie miała wątpliwości, że byli, albo wciąż są kochankami.

- Bardzo mi miło. Spędzasz w Del Mahari wakacje? - spytała z chrapliwym, silnym akcentem.

- Tak. - Kit uśmiechnęła się naturalnie, nawet jej głos brzmiał tak swobodnie, że nikomu do głowy by nie przyszło, że w środku cała dygocze. Zupełnie, jakby sytuacja, w której mówi

się jedno, a myśli co innego, była jej chlebem powszednim. - Ale niedługo wyjeżdżam.

- To smutne. - Gdyby sędzić po błysku w jej oczach, ta wiadomość wcale Zity nie zasmuciła. - Może kiedyś jeszcze tu przyjedziesz?

- Wątpię.

Gdy Zita kiwnęła ze zrozumieniem głową, zamieniła kilka słów z Colette i Claude'em i wróciła do swojego stolika, Kit z trudem rozplatała schowane pod stołem, zaciśnięte do bólu palce.

- Jest bardzo piękna - zwróciła się do całej trójki, ale to Colette podtrzymała rozmowę. Gerard milczał, śledząc wzrokiem każdy jej gest.

- Nie brakuje jej ani urody, ani inteligencji. Jest lekarką, z tego, co wiem, bardzo dobrą.

- Ach, tak... Od dawna ją znacie? - spytała beznamiętnie.

- Razem dorastaliśmy - przemówił w końcu Gerard. - Jej rodzice bardzo się przyjaźnili z moimi. - Uśmiechnął się chłodno. - Aż do wieku szkolnego byliśmy nierozłączni. Zita została wysłana do prywatnej szkoły w Szwajcarii, potem na studia, po których zaczęła robić błyskotliwą karierę.

Kiedy przy stoliku pojawił się kelner, rozmowa zesłała na jedzenie, ale Kit, choć z powodzeniem udawała, że jest w świetnym humorze, czuła się strasznie. Czy naprawdę sądziła, że dzięki dzisiejszej żalostnej maskaradzie Gerard będzie o niej pamiętał? Mając wokół siebie takie kobiety? Jak mogła być taka głupia! Dlaczego nie ubrała się normalnie, tak jak chciała? Przynajmniej nie czułaby się teraz jak ryba wyjęta z wody.

Kolacja była znakomita, na stole pojawiały się kolejne dania, wśród których nie zabrakło kuskus, narodowej potrawy marokańskiej, ale Kit, w swoim stanie ducha, równie dobrze mogłaby jeść trociny. Była świadoma każdego poruszenia Zity, kiedy spoglądała w ich stronę. Gerard zdawał się nie zwracać na nią uwagi, gawędził, tryskał humorem, ciętymi uwagami co rusz wywoływał salwy śmiechu u reszty towarzystwa, chociaż Kit nie mogła być w bardziej ponurym nastroju. I wiedział, że ona gra. W pewnej chwili spojrzała na niego, odpowiadając zdawkowym uśmiechem na jakiś komplement. Jego oczy były lodowate.

Część artystyczna zaczęła się, gdy kończyli deser, i Kit musiała przyznać, że było to widowisko zapierające dech w piersiach. Próbowwała się skoncentrować, tłumacząc sobie, że wkrótce wszystko to będzie dla niej odległym wspomnieniem, ale uczucie gniewu i bólu stawało się coraz silniejsze. Gdyby chociaż rozumiała przyczynę swojego wzburzenia... Nie miała prawa pozwalać sobie na żadne emocje z jego powodu. Była zaręczona, do diabła, i związku intymne Gerarda były wyłącznie jego sprawą. Nie mówiąc o tym, że on nie flirtował z Zitą; po tym, jak rozpoznał ją przy wejściu, ani razu na nią nie spojrzał, nie istniało więc

żadne usprawiedliwienie dla jej wściekłości. Ale chłodna logika na nic się nie zdała.

Sączyli mocną kawę, kiedy zakończyły się występy i parkiet taneczny zwolnił się dla gości. Trzyosobowa grupa muzyków zajęła swoje miejsce i niemal w chwili, gdy zaczęli grać, Zita z wysokim, bardzo przystojnym ciemnowłosym mężczyzną ruszyli w kierunku ich stolika.

- Chciałabym ci przedstawić Salema. - Zita zwróciła się do Gerarda. - Jest konsultantem w naszym szpitalu.

Chce wzbudzić w nim zazdrość, pomyślała Kit. To było oczywiste, tak oczywiste, że kiedy odwróciła się lekko i pochwyciła spojrzenie Claude'a, zamrugał kilka razy, potem wzruszył wymownie ramionami. Uśmiechnęła się do niego, nie zdradzając prawdziwych uczuć, i zerknęła na Gerarda, który przywitał się z Salemem uprzejmie, ale z rezerwą na twarzy. W czasie ogólnej rozmowy Zita oparła się ni stąd, ni zowąd na ramieniu Gerarda, przywierając do niego swoim pełnym biustem. Jeśli Salem zauważył ten manewr, najwyraźniej nie zrobiło to na nim wrażenia, bo po kilku minutach, które Kit wydały się nieznośnie długie, wyciągnął do niej rękę.

- Kit? To bardzo oryginalne imię. - Uśmiechnął się czarująco. - Miałabyś ochotę zatańczyć?

- Świetny pomysł. Gerardzie, zatańczysz ze mną? - Natychmiastowa reakcja Zity wzbudziła w Kit podejrzenie, że cała ta scena była zaplanowana.

- Kit niezbyt dobrze się czuje. Obawiam się, że...

Wstała, patrząc mu hardo w oczy. Niech tańczy z Zitą, niech robi, co chce! Nic ją to nie obchodzi, nic a nic.

- Z przyjemnością.

Kiedy Salem położył jej rękę na karku i poprowadził na parkiet, wiedziała, że tamtych dwoje idzie tuż za nimi, słyszała gardłowy chichot Zity i wszystko się w niej gotowało.

Salem był bardzo taktowny, trzymał ją w tańcu blisko, ale nie za blisko, pomyślała, uśmiechając się do niego z sympatią i starając się nie widzieć Zity uwieszanej na szyi Gerarda. Jej podejrzenie zamieniło się w pewność. Nie byli parą przyjaciół z piaskownicy.

- Od dawna znasz Gerarda? - Salem wciąż próbował udawać, że sytuacja jest normalna, ale zauważyła, jak pociemniały mu oczy.

- Nie, mniej więcej od tygodnia. - Zmusiła się do uśmiechu, znowu słysząc za plecami radosny chichot Zity.

- A ty, jak długo znasz Zitę?

- Zbyt długo.

Takiej odpowiedzi raczej się nie spodziewała. Kiedy spojrzała na niego z niemym pytaniem w oczach, Salem uśmiechnął się gorzko.

- Wiesz, zawsze byłem obok. Jak szczeniak łaszczący się na okruchy z pańskiego stołu. Zdaje się, że dopiero dzisiaj zrozumiałem, dlaczego miałem wstęp do jej łóżka, ale nie do serca.

Jego szczerość wprawiła ją w zakłopotanie i żadne właściwe słowa nie przychodziły jej do głowy.

- Przepraszam, Kit, to było nie fair. W końcu to mój problem, a nie twój. Myślę, że twojemu Gerardowi bardzo na tobie zależy.

- Naprawdę tak myślisz? - Uniosła z niedowierzaniem brwi i teraz ona zrobiła gorzką minę.
- Więc powiedz szczerze: gdybyś mógł mieć mnie albo Zitę, wahałbyś się przez chwilę?

Zdrętwiał. Patrzył na nią przez moment, a potem nagle przygarnął ją mocno do siebie, opierając brodę na jej głowie.

- Tak, wahałbym się - powiedział czule. - I wiesz, że twój Gerard nie jest głupcem. Nie ufasz mu?

- Czy mu ufam? - Odsunęła się delikatnie i oparła dłonie na jego szerokim torsie. Zita była głupia. On był dobrym człowiekiem. - Nie, chyba nie - odpowiedziała, gdy umilkła muzyka. - Wrócimy do stołu? Muszę przypudrować nos.

- Oczywiście.

Odwróciwszy się, zobaczyła, jak Zita przyciąga głowę Gerarda do swojej i szepcze mu coś do ucha. Dopiero teraz ogarnął ją dziki, niepohamowany gniew. Na drżących nogach podeszła do stołu, chwyciła torebkę i bojąc się, że Colette zechce jej towarzyszyć, szybkim krokiem wyszła z sali. Zamiast wejść do toalety, zbiegła po kręconych schodach na patio, które podziwiała z góry podczas kolacji. Pod okazałą palmą siedziały dwie pary, racząc się drinkiem w urzekająco pięknym otoczeniu.

Znalazła przytulne miejsce przy fontannie i opadła z ulgą na rzeźbione w kamieniu siedzenie. Musiała się uspokoić i pomyśleć. Musiała...

- Kit? Czy coś się stało?

Usłyszała głos Gerarda i poczuła się jak schwytna w pułapkę. Nie chciała z nim rozmawiać w takim stanie nerwów. Musiała zapanować nad sobą, zebrać myśli i zrozumieć, dlaczego zachowanie Zity wyprowadziło ją z równowagi.

- Dlaczego miałoby się coś stać? - Uśmiechnęła się pogodnie.

- To ja cię o to pytam. - Usiadł koło niej i wyciągnął przed siebie nogi, po czym ciężko

westchnął. - Dlaczego tu przyszedłaś sama?

- Bo chciałam. - Furia opadła ją z nową siłą. Broniła się przed tym, ale on był tak cholernie zimny, taki opanowany i nieprzystępny. - Nie wiedziałam, że muszę prosić cię o pozwolenie.

- W takim razie to był twój pierwszy błąd. Jestem za ciebie odpowiedzialny, a ty nie... Jeszcze nie.

- Nic mi nie jest! Chciałaś powiedzieć, że nadal niczego nie pamiętam, więc powiedz to.

- Dobrze. Dokładnie to chciałem powiedzieć. Zgodziłem się odpowiadać za twoje bezpieczeństwo i dopóki nie jesteś sobą...

- Sobą? - syknęła wściekle. - Nie mam bladego pojęcia, co to znaczy „być sobą”! Ale to, że straciłam chwilowo pamięć, nie znaczy, że jestem kompletną idiotką.

- Ale o co tak naprawdę ci chodzi? - spytał niewzruszonym głosem.

- O ciebie i tę Zitę, czyli niejaką Florence Nightingale - odparowała, sztyletując go wzrokiem. - Myślałam, że nawet ty masz jakąś ludzką wrażliwość. Jak mogłeś mnie tu przyprowadzić, wiedząc, że ona też będzie? Czego ci się zachciewa... haremu?

- Nawet ja? - Wyraźnie zlekceważył resztę oskarżenia.

- Tak, nawet ty. - Patrzyła mu prosto w oczy, odwrócona lekko bokiem i pochylona do przodu, jak gdyby szykowała się do wymierzenia mu ciosu. - Powiedz, że to nieprawda. Powiedz, że z nią nie spałeś.

- Dlaczego miałbym coś takiego mówić?

- Więc przyznajesz, że to prawda? - Poczowała, że krew odpływa jej z twarzy.

- Nie muszę niczego przyznawać - powiedział z lodowatą pogardą. - Zita i ja byliśmy kiedyś więcej niż przyjaciółmi, dawno temu, ale to przeszłość i nie twoja sprawa. Ta rozmowa do niczego nie doprowadzi, więc proponuję, żebyśmy wrócili na górę. A swoją drogą, żeby już wszystko było jasne, nie miałem pojęcia, że Zita i Salem będą tu dzisiaj.

- Naprawdę!?! - Kiedy wykrzyknęła to z bezlitosną drwiną w głosie, otwarcie zarzucając mu kłamstwo, chwycił ją brutalnie za ramię i postawił na nogi.

- Tak, naprawdę. A teraz, jeśli już sobie ulżyłaś, wrócimy do stolika.

- Zabierz ode mnie swoje łapy - syknęła cicho, mierząc go nienawistnym spojrzeniem. - Nie będziesz mną poniewierał. Możesz się wyżywać na takich nieszczęśnicach, jak Halima, które muszą się z tym godzić, ale...

- Co proszę?

Za późno zdała sobie sprawę, do czego doprowadził ją demon zazdrości. Jak mogła coś takiego powiedzieć? Zdrętwiała z przerażenia, zapominając o swoim gniewie.

- Wytłumacz się.

- Nie chciałam tego... - Głos jej zamarł, szukała rozpaczliwie jakiejś wymówki, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Colette powiedziała mi o waszej porannej rozmowie. - Powoli zdjął rękę z jej ramienia. - Czy mam rozumieć, że uznałaś mnie za sprawcę nieszczęścia Halimy?

Cóż mogła powiedzieć? Nie wierzyła w to, ale słowa, które bezrozumnie wypowiedziała, były jak śmiercionośne pociski i żadna siła nie mogła ich cofnąć. Zachowała się podle i teraz czuła do siebie wstręt, ale kiedy zobaczyła wtuloną w niego Zitę, ogarnęło ją szaleństwo, o jakie nigdy by siebie nie podejrzewała. Tylko że to nie było żadne usprawiedliwienie. Patrzyła na jego pobladłą twarz, bezradna w swoim upokorzeniu, i nie miała mu nic do powiedzenia.

- Miałbym ochotę cię sprać, tak, żebyś zapamiętała to na całe życie, ale to by tylko uwiarygodniło twoją opinię o mnie. Nigdy nie podniosłem w gniewie ręki na kobietę i, szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy w to wierzysz, czy nie. - Wyprostował się i odsunął od niej jak od trędowatej. - Niech to szlag... - Mierzył ją tak zdesperowanym, dzikim wzrokiem, jakby dopiero teraz miał naprawdę wybuchnąć. - Po co ja się, do diabła, tym przejmuję? Mam to w nosie!

- Gerard, przepraszam, ja nie chciałam...

- Przepraszasz? - Przerwał jej, wykonując gwałtowny gest ręką, który demonstrował jego wściekłość. - Do następnego razu? Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, że kiedy tylko zbliżam się do ciebie, kurczysz się jak spłoszony królik? Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę, w tych twoich wielkich szarych oczach pojawia się strach i nienawiść.

- Nie! To nieprawda. Nie czuję do ciebie nienawiści.

- Owszem, czujesz. Tym większą, im bardziej zdajesz sobie sprawę, że coś nas do siebie ciągnie i nie potrafisz nad tym zapanować. Jest we mnie coś, czego nie tolerujesz, Kit, wiesz o tym.

Patrzyła na niego, oniemiała, zdumiona jego przenikliwością.

- Wyobrażasz sobie, że mógłbym maltretować Halimę, prywatnie zachowywać się jak potwór, a potem zmieniać twarz i udawać przed ludźmi przyzwoitego człowieka? O to chodzi, prawda? Nie ufasz mi za grosz. Mam rację?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Miała mgłę przed oczami i próbowała uporządkować mętlik w swojej głowie. Nie czuła tak, nie myślała tak o nim. A jednak...jednak miał rację. Jakby coś ostrzegało ją, budziło paniczny lęk, zawsze, kiedy z nim była - a jednocześnie

chciała z nim być, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek.

- Myślałem, że zdołam cię przekonać, jeśli przyjedziesz do Del Mahari, że z czasem zobaczysz... - Zawiesił raptownie głos.

- Zobaczą co? - spytała drżącym głosem.

- Nieważne. Odraza, nienawiść, którą do mnie czujesz, jest zbyt głęboka.

- Chcesz, żebym wyjechała? - W chwili kiedy wydusiła z siebie te słowa, zrozumiała, jak bardzo chciała zostać. Intensywność tego pragnienia była przerażająca. - Mogę wyjechać jutro.

- Zostaniesz jeszcze tydzień do mojego powrotu z Casablanki - powiedział oschle.

I kiedy odsunął się od niej, ciałem i duszą, uświadomiła sobie, że opacznie zrozumiał jej pytanie, że pomyślał, iż ona chce wyjechać.

Siedziała jeszcze chwilę w milczeniu, wsłuchana w delikatny szmer wody w fontannie. Tu nie chodziło o Zitę. Wreszcie z zamętu jej myśli wyłonił się jakiś sens. Pojawienie się Zity tylko przyspieszyło uwolnienie jadu, który w sobie nosiła, a konsekwencje okazały się tragiczne. Gerard skończył z nią. Zimna pustka w jego oczach mówiła wszystko. Ona mogła wyjechać za tydzień, ale jeśli chodziło o niego, słowa pożegnania już padły.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Reszta wieczoru i powrót do Del Mahari okazały się absolutnym koszmarem, z którego nie było przebudzenia. Kiedy znaleźli się w domu, Kit zniknęła w swoim pokoju po zdawkowym pożegnaniu z wyraźnie zmartwioną Colette i jej milczącym bratem. Potem, szykując się do snu, przeżywała wszystko od nowa, raz po raz, na okrągło, aż poczuła, że jest bliska szaleństwa.

Zita ze swoim towarzystwem wyszli tuż po jej powrocie do restauracji. Wybierali się na jakieś przyjęcie, na które Zita całą ich czwórkę gorąco zapraszała, ale Gerard stanowczo odmówił. Potem ona i Gerard siedzieli w ponurym milczeniu, patrząc na Colette i Claude'a, wtulonych w siebie na parkiecie tanecznym. Raz wykonała nawet jakiś pojednawczy gest, żeby z nim porozmawiać, ale zareagował z taką niechęcią, że więcej nie próbowała.

Po godzinie rozpaczliwego wadzenia się z sobą, z nim i z całym życiem, uznała swoją porażkę i postanowiła zejść na dół, żeby napić się czegoś ciepłego. Wiedziała, gdzie jest kuchnia, chociaż nigdy do niej nie wchodziła. O tej porze jednak cały dom spał, zdecydowała więc, że nic się nie stanie, jeśli zagrzeje sobie kubek mleka i posiedzi na chłodnym dziedzińcu. Chwytny za gardło strach, uczucia paniki i żalu doprowadziły ją na skraj hysterii; pomyślała, że nie wytrzyma samotności w swoim pokoju ani chwili dłużej.

Na cienką jak mgielka nocną koszulę zarzuciła lekki szlafrok i wymknęła się bezszelestnie na korytarz. W szarym mroku nocy ogromny dom wydawał się nieprzyjazny, ale była w takiej rozpaczce, że nawet gdyby zobaczyła samego diabła, nie cofnęłaby się.

Kuchnię znalazła bez kłopotu. Wyjęła z wielkiej lodówki karton koziego mleka, zagrzała je i nalała do kubka. Przed wyjściem rozejrzała się po ogromnym, nieskazitelnie czystym pomieszczeniu, pełnym najrozmaitszych nowoczesnych urządzeń, luksusowych naczyń i sprzętów.

Był zamożny, niewiarygodnie, bajecznie zamożny, przystojny, a na dodatek inteligentny. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może powinno jej pochlebiać, że ktoś taki w ogóle zwrócił na nią uwagę, nawet jeśli był to chwilowy kaprys. Ale nie pochlebiało. Była zdruzgotana, nieszczęśliwa i bardzo, bardzo samotna.

Nie rozplaczesz się, rozkazała sobie stanowczo, czując wzbierające pod powiekami łzy. Wyjdiesz z tego, dowiesz się, kim jesteś, i zaczniesz normalnie żyć. Ta amnezja to tylko tymczasowy azyl - tłumaczył ci to przecież!

Przetała oczy wierzchem dłoni. A ten narzeczony w Anglii? Nikt nie byłby w stanie zmusić jej do wyjścia za niego, gdyby sama tego nie chciała. I nagle poczuła absolutną

pewność, że nie chce. To odkrycie uwolniło coś z głębi jej świadomości. Już słysząc przez telefon jego nadany głos, zdała sobie z tego sprawę.

Zeszła po schodach na marmurowy dziedziniec, zmierzając do ławki umieszczonej przy największej fontannie, kiedy kątem oka dostrzegła jakieś lekkie poruszenie. Serce skoczyło jej do gardła.

- Przekonaj mnie, że nie jestem tak pijany, jak bym tego chciał, a ty nie jesteś zjawą. - Głos Gerarda nie brzmiał jak głos pijanego. Był spokojny i bezlitośnie drwiący.

Jak śmiał być taki opanowany, taki swobodny, taki niewzruszony, kiedy ona trzęsa się jak galareta? Nic na niego nie działało, nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi? On był nieprawdziwy, po prostu nieprawdziwy!

- Nie sądziłam, że ktoś może jeszcze nie spać. – Stała nieporuszona, wolną ręką przyciskając do piersi szlafrok.

- Och, ja nie śpię, Kit, zdecydowanie nie śpię.

Wstał z tej samej ławki, którą sobie wypatrzyła, i kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyła na posadzce butelkę whisky, do połowy opróżnioną, a obok pustą szklankę. Był w arabskim stroju, tym samym, który miał na sobie pierwszego wieczoru.

- Przyłączysz się do mnie?

Stała, wahając się, co powiedzieć, gdy nagle jego potężny głos przeszył powietrze jak ostrzem noża. Wszelkie pozory nonszalancji zniknęły.

- Kobieto, nie mam zamiaru cię zgwałcić! Nie musisz tak na mnie patrzeć! - Podszedł do niej na wyciągnięcie ręki. - Przyszedł tu pewnie posiedzieć - mruknął. – Więc usiądź!

Nie było mowy, żeby uszła tych kilka kroków do miejsca, które właśnie zwolnił, więc żeby nie rozjuszyć go jeszcze bardziej, przysiadła na murku okalającym klomb róż.

- Czy wciąż mnie chcesz, Kit, w sensie fizycznym, oczywiście? - Patrzył na nią z góry, stojąc w lekkim rozkroku, z rękami na biodrach, i wyglądał jak jakiś potężny szejk, bezpieczny w swoim małym królestwie, w którym każdy jego rozkaz i każde życzenie jest prawem. - Chciałaś mnie wtedy w górach, pamiętasz?

Czy pamiętała? Modliła się, żeby to pragnienie nie było wypisane na jej twarzy.

- Wątpię, czy to zaprowadzi nas do czegokolwiek...

Zaśmiał się chrapliwie i usiadł tuż obok niej. Owiał ją ostry męski zapach i poczuła, jak krew pulsuje jej w skroniach. Gerard był jakiś inny niż zwykle, jak gdyby jego niezawodne dotąd hamulce nagle puściły.

- A więc? Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Ja... - Czuła się jak zahipnotyzowana. Patrzy na nią głodnymi oczami, dając jej wyraźnie do zrozumienia, czego chce. - Zostaw mnie samą...

- Odpowiedz mi. Powiedz, że mnie nie chcesz, że nic nie czujesz, kiedy trzymam cię w ramionach, a nie dotknę cię nigdy więcej, przysięgam.

Wszystkimi zmysłami, każdym swoim nerwem chłoneła zmysłową aurę, czuła otulające ich powietrze, wsłuchiwała się w brzemienne oczekiwanie ciszę. Podniecenie, które sprawiło, że fala błędnego ciepła przetoczyła się przez jej żyły, wywołało również dreszcz strachu. Jak to możliwe, żeby mężczyzna ją tak pociągał i tak przerażał jednocześnie? Jak gdyby była dwiema różnymi kobietami

w tej samej skórze albo... Albo jej intuicja, jej szósty zmysł przenika maskę, którą Gerard pokazuje światu, i rozpoznaje pod nią coś szatańskiego... niebezpiecznego... groźnego.

- Nie chcę ciebie. - Te słowa były miękki westchnieniem, wyrzuconym w odurzające słodkim zapachem powietrze, i oboje wiedzieli, że kłamie.

Jednym silnym ruchem ramienia objął jej plecy, drugą ręką uniósł brodę, żeby ją pocałować, ale zamiast gwałtownego wybuchu żądy, jakiego się spodziewała, poczuła na wargach czułe, delikatne muśnięcie. Błądził po nich językiem, smakował powoli, nie spiesząc się, przygarniając ją coraz bliżej do siebie. Pożądanie, które stłumiła w sobie chwilę wcześniej, powróciło z nową siłą. Zapomniała, że jest prawie naga, nie przejęła się tym, że ma rozchyłony szlafrok, a kiedy wtuliła się w jego tors, zapomniała też o wszystkim innym, poddając się jednemu, jedyemu pragnieniu - żeby ją kochał. Teraz, zaraz, już!

Przesunął dłonią po jej włosach, wplątując palce w rude jedwabiste pasemka. Kiedy przechyliła do tyłu głowę, spełnił jej niemą prośbę i zaczął całować gwałtownie i namiętnie, wolną ręką wędrując po jej ciele, najpierw bardzo ostrożnie, potem, pewny jej przyzwolenia, coraz śmielej - aż jęknęła z rozkoszy, zatracając się bez reszty w swoim pierwszym miłosnym doznaniu.

- Chodź...

Kiedy wziął ją na ręce i ruszył ku schodom, Kit powoli zaczęła przytomnieć. Odzyskawszy oddech na tyle, żeby móc mówić, odezwała się słabym szeptem:

- Gerard? - Ogień, który zobaczyła w jego oczach, wprowadził jej serce w łomot. - Co ty robisz?

- Będzie nam wygodniej w moim pokoju. - Uśmiechnął się i pocałował ją w czubek nosa. - Chciałbym, żebyśmy się nie spieszyli, żeby nic nam tej nocy nie zepsuło. Chcę całować twoje piękne ciało dotąd, aż sama zaczniesz błagać o spełnienie.

- Gerard...

- Pragnę cię, Kit, ale to jest coś więcej, rozumiesz? - Zatrzymał się na szczycie schodów, patrząc w jej zamglone szare oczy.

- A Zita? I inne... - Zimny rozsądek zaczął brać górę nad pożądaniem. - Nie jestem taka, Gerardzie. Nie mogę się z tobą kochać, a potem po prostu odejść.

Kiedy zaczęła się nerwowo wiercić, przez chwilę trzymał ją mocno, a potem pozwolił jej dotknąć nogami podłogi, wciąż nie wypuszczając z objęć.

- Posłuchaj, co do ciebie mówię...

- Nie! - Próbowwała się wyrwać, ale jego stalowe ramiona były za silne. - Powiedziałeś wtedy w górach, że będę musiała cię pragnąć i duszą, i ciałem, a nie jest tak. Nie jest, rozumiesz!

- Dlaczego? - Twarz mu się nagle zmieniła, z oczu zniknął czuły blask, a pojawiła się furia. - Co ty, do diabła, widzisz, kiedy patrzysz na mnie?

Co widziała? Patrzyła na niego przerażona. Widziała mężczyznę, którego pragnęła wbrew samej sobie. Mężczyznę, który miał nieograniczoną władzę nad jej duszą i ciałem, któremu padłaby do stóp, gdyby tylko strzelił palcami. I widziała kogoś, kto budził w niej paniczny lęk.

To wszystko zdradzały jej oczy, ale on wyczytał z jej twarzy tylko lek, odrazę i ślepe panikę.

- Jeżeli teraz od ciebie odejdę, to koniec, *vous comprenez!* - Wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok. - Rozumiesz, Kit? Nigdy więcej nie spróbuję się do ciebie zbliżyć. Postawiłem sprawę jasno, a teraz decyzja należy do ciebie. Nie zaniosę cię do swojego łóżka, jeśli masz kopać i wrzeszczeć, do jasnej cholery...

- Gerard...

- Nie, nie chcę żadnego „Gerard, Gerard” – warknął gniewnie. - Chcę mieć w łóżku kobietę, a nie rozkapryszone dziecko, któremu co minutę zmienia się humor.

Patrzyła na niego oczami zranionego zwierza i nagle coś ukłuło go w serce. Poczuł bolesny ucisk w piersi i na moment przestał oddychać. Jak śmiała doprowadzać go do takiego stanu i jeszcze patrzeć w ten sposób? Czy nie widziała, co z nim robi? Jak na niego działa od tamtej przekłętej chwili, kiedy spojrział na nią po raz pierwszy?

- A więc? - Sam nie wiedział, co go popycha do zniweczenia choćby tak nikłej szansy na to, że zaufa mu trochę, ale nagle, kiedy znów go odtrąciła, coś w nim pękło. - Co robimy?

Spuściła głowę, odwróciła się powoli i ze zwieszonymi ramionami, jak bardzo stara kobieta, zeszała na półpiętro i zniknęła w swoim pokoju. A on zastanawiał się, co takiego zrobił w swoim życiu, że musi aż tak pokutować. Za jakie grzechy cierpi takie katusze?

Kilka następnych dni upłynęło w nastroju przeraźliwej normalności i Kit doszła do wniosku, że przeżyje jakoś do wyjazdu, jeśli będzie utrzymywała emocje w całkowitej próżni. Gerard zniknął w swoim gabinecie tuż po śniadaniu, potem pojawiał się na późnym obiedzie, zawsze sztywny, z kamienną, nieprzeniknioną twarzą. Podczas wspólnych posiłków atmosfera była tak napięta, że Kit ledwie mogła coś przełknąć. Biedna, skonsternowana Colette wycofała się w uprzejme milczenie, po tym, jak Gerard napadł na nią pierwszego dnia z taką furją, że blada jak ściana, skuliła się w bezsilnej złości. Wyraźnie nie rozumiała, co się dzieje, ale też równie wyraźnie nie miała zamiaru się wtrącać, o co Kit nie mogła mieć do niej pretensji.

Tego dnia, kiedy miała wyjechać do Casablanki, obudziła się przed świtem i leżała cztery godziny, otepiała z bólu. Poprzedniego wieczoru Gerard oświadczył jej chłodno, że wyjadą po śniadaniu. Colette była umówiona na cały dzień z rodziną Claude'a, pożegnały się więc, nie kryjąc wzruszenia, po kolacji.

Kiedy już nie była w stanie odsunąć od siebie dręczących pytań, tych samych, które zadawała sobie codziennie po sto razy, wyskoczyła z łóżka. Wzięła krótki prysznic, włożyła własne ubranie i postanowiła iść na spacer do ogrodu. Musiała coś zrobić, żeby utrzymać się w stanie odrętwienia do końca, nie mogła się teraz załamać.

Wymknęła się cicho z domu i przez ponad godzinę wędrowała po ukwieconych trawnikach, przysiadła pod palmą albo migdałowcem, przyglądała się małym, wesołym ptakom, które pluskały się w specjalnie zbudowanym dla nich baseniku, przepychając się i walcząc o najlepsze miejsce jak stadko niesfornych dzieci.

Najdalej za kilka godzin będzie w Casablance. Prawdopodobnie zatrzyma się tam na jedną noc, jeśli okaże się, że lot jest zarezerwowany na następny dzień, i wróci do domu. Do domu? To słowo wyrwało ją z odrętwienia, przyprawiając o gęsią skórkę. Gdzie jest jej dom? Kim są David, Emma...? Kiedy sobie ich przypomni...? Ścisnęła rękami skronie. Nie. Nie będzie myślała o tym teraz, kiedy czeka ją ciężkie przeżycie - rozstanie z Gerardem. Idąc już w stronę domu, spojrzała na zegarek. Pora śniadania zbliżała się nieubłaganie. Kiedy dotarła do ścieżki przebiegającej koło pawilonów dla służby, przyspieszyła kroku.

Pierwszy krótki przeraźliwy krzyk wbił ją w ziemię. Zacisnęła rękę na gardle i skamieniała, nie mogąc ruszyć się z miejsca, wsłuchiwała się w głuchą ciszę. Po kilku sekundach usłyszała kwilenie dziecka. Ten dźwięk, coś pomiędzy płaczem a jękiem, wydał jej się przerażająco znajomy i przeszył ją dreszczem. Potem jakaś kobieta głośno zawyła, inna zaczęła krzyczeć i w tym samym momencie zagłuszył je wściekły, charczący głos mężczyzny, który wrzeszczał coś po arabsku.

Zdesperowana Kit rozglądała się dookoła, zastanawiając się, czy powinna interweniować - wejść tam i wtrącić się w coś, co zdecydowanie nie było jej sprawą, gdy wpadła na nią z impetem zrozpaczona Amina.

- *Minfadlik, minfadlik* - powtarzała z błaganiem w oczach, ciągnąc ją za rękę do domu, z którego dobiegał coraz głośniejszy zwierzęcy ryk.

- Amina? - Kit potrząsnęła nią lekko. - Co tam się dzieje? Nie rozumiem...

- Proszę, ty wejść. Proszę, proszę...

- Amina! Amina.

Na widok Gerarda i Assada, którzy, sądząc po strojach, wrócili z konnej przejażdżki, Kit westchnęła z uczuciem niewysłowionej ulgi, Amina zaś wybuchnęła głośnym szlochem, któremu wtórował dochodzący z domu rozpaczliwy płacz drugiej kobiety.

Gerard, z zaciśniętymi ze złości ustami, dosłownie wepchnął Aminę w ramiona Assada, mruknął coś po arabsku rozkazującym tonem, ominął Kit i wpadł z furią do domu Marokańczyków. Po chwili hałasy umilkły, a on wyszedł z jednym z dzieci Halimy na rękach, około pięcioletnią dziewczynką. Kiedy Amina instynktownie chwyciła dziecko w ramiona, Kit zauważyła krew na prawej ręce Gerarda.

- Gerard?

- Zaraz - rzucił jej nic nie mówiące spojrzenie, a potem po krótkiej rozmowie z Assadem i Aminą poczekał, aż oboje znikną za drzwiami domu.

- Gerard? - Dotknęła delikatnie jego ramienia, a kiedy odwrócił się i zobaczyła na jego twarzy dziki, nienawistny gniew, ciarki przebiegły jej po skórze.

- Ten człowiek to bydlę. - Przesunął ręką po włosach, zostawiając na skroni ślady krwi.

- Bydlę?

- Dlaczego, do cholery, taka kreatura jak Abou płodzi tyle dzieci, a Assad i Amina nie mają ani jednego? Ostrzegalem go kilka dni temu, że następnym razem mu nie daruję.

- Gerard, chcesz powiedzieć, że Abou bije swoją rodzinę? - Kit zapytała słabym głosem, czując, jak terazniejszość gdzieś odpływa i straszna ciemność osacza jej duszę.

- Tak, przecież mówię wyraźnie - odpowiedział zirytowany, zerkając na drzwi, za którymi panowała złowieszcza cisza. - Nie trzymałbym tego drania, gdyby nie to, że zatrudniając go, ochraniam w jakiś sposób jego rodzinę. Poza tym Amina i Assad są zawsze pod ręką. To nie do wiary, że Assad wyszedł z tego samego domu, który wyhodował takiego dzikusa. - Kiedy odwrócił się z powrotem do Kit, jej szklane oczy i kredowobiała twarz przeraziły go. - No, nie przejmuj się tak. Mały drink dobrze ci zrobi...

Colin. Jej ojczym Colin. Z falą mdłości powróciła pamięć. Już wiedziała, dlaczego żalony płacz dziecka Halimy wywołał w niej taki szok. To był jej płacz, jej krzyk, jej cierpienie. Przez długie lata żyła w strachu przed tym mężczyzną - drugim mężem swojej matki. Jej rodzony ojciec zmarł, kiedy miała pięć lat, a kilka miesięcy później matka wyszła powtórnie za mąż. Za mężczyznę ogarniętego obsesją na jej punkcie. Colin pragnął zmysłowej żony i odkrył w matce Kit kobietę o samolubnej, prymitywnej naturze, wprost stworzonej do zaspokajania jego niepohamowanej żądzy. Od chwili kiedy Kit zobaczyła go po raz pierwszy, wzbudzał w niej strach i obrzydzenie. Odwzajemniał jej nienawiść z nawiązką, nie mogąc ścierpieć faktu, że jego żona poświęca choćby odrobinę uwagi komukolwiek poza nim. Na początku matka próbowała ją przed nim bronić - przed biciem, lekceważeniem, okrucieństwem psychicznym, ale świat wybujałego erotyzmu, w który ją wprowadził, okazał się zbyt pociągający i wkrótce stała się mu posłuszna jak niewolnica. Chwytający za gardło strach, z którym Kit budziła się każdego dnia, przez całe lata, powrócił w całej swojej potworności.

Ojczym był wysokim, przystojnym mężczyzną, który, gdy tylko chciał, potrafił być naprawdę czarujący, a jego władcza, zmysłowa, arogancka natura najwyraźniej odpowiadała jej matce, bo kochała go do szaleństwa, świata nie widząc poza nim. Kit całe dni, tygodnie i miesiące spędzała zamknięta w swoim pokoju, woląc to niż bicie, które mogło ją spotkać z jakiegokolwiek błahego powodu. Najbardziej jednak raniło okrucieństwo psychiczne. Subtelne albo niesubtelne, drwiny z jej szczupłej, chłopcęcej figury, nieustanne pogardliwe docinki, które naznaczyły piętnem jej dzieciństwo i wczesną młodość, zostawiły w jej świadomości trwałe ślady.

Kiedy Colin i matka zginęli w wypadku samochodowym, tuż po jej szesnastych urodzinach, dzięki spadkowi znalazła się w doskonałej sytuacji finansowej, ale była emocjonalną kaleką. Mężczyźni o władczej naturze, zwłaszcza ci przystojni, wzbudzali w niej odrazę. Wołała słabeuszy, niezdolnych poruszyć ani jej serca, ani intelektu. Zawsze musiała mieć nad nimi wyraźną przewagę, pod każdym względem. Ale to zrozumiała dopiero teraz. Przypomniła sobie chłopców i mężczyzn, z którymi była związana przed Davidem, i zdała sobie sprawę, że wszyscy byli jakby ulepieni z jednej gliny - łatwi do manipulowania, chętnie grający drugie skrzypce, zadowolający się niewinnym pocałunkiem i nie stawiający żadnych żądań. A ona narzuciła sobie styl, który miał jej gwarantować, że nie będzie wzbudzała zainteresowania bardziej męskich typów - proste, nijakie fryzury, żadnego makijażu, stonowane kolory... Spojrzała na Gerarda. I to działało. Do czasu.

- Kotku? Przypomniałaś sobie, prawda? - Zaklął cicho, kiedy spojrzał na jej białe usta i

zastygła z bólu twarz. - O co chodzi? Co ci się stało?

Chciał ją wziąć na ręce z czystego współczucia, bez żadnych innych zamiarów, ale kiedy jej dotknął, odsunęła się z taką niechęcią, że krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie dotykaj mnie.

Chciała uporać się z tym wszystkim, o czym próbowała niedawno zapomnieć, a jednocześnie ze świadomością, że Gerard był jedynym mężczyzną, wobec którego jej taktyka obronna okazała się nieskuteczna. Pozwoliła mu się zbliżyć do siebie, bo nie była w stanie zapanować nad pożądaniem, które w niej budził. Pozwoliła, żeby ją niepokoił i prowokował. Pozwoliła mu się ujarzmić. Nie dotykaj mnie nigdy więcej.

- Jesteś chora, wyglądasz, jakbyś miała zemdleć...

- Nie zbliżaj się do mnie - warknęła, kiedy znowu wyciągnął ręce. - Czuję wstręt do ciebie, rozumiesz? - Na widok jego pobladłej twarzy poczuła bolesne ukłucie w sercu, ale musiała szarżować dalej. Dała mu za dużo władzy nad sobą; gdyby tylko wiedział... miałby wszystko. Co mogła zrobić? Co mogła zrobić? Kochała go. Po zwoliła sobie na coś, co by ją zniszczyło, gdyby nie wyrwała tego z korzeniami. - Nie chcę cię widzieć nigdy więcej!

I uciekła, biegnąc na oślep, z krwawiącym sercem. Gdy zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju, upadła na podłogę z bezsilnym jękiem. Musiała to zrobić, żeby odejść na zawsze z jego życia. Bo to musi być na zawsze.

Zwinęła się w kłębek i jej pamięć zaczęła przywoływać pojedyncze obrazy z jej dzieciństwa. Te najgorsze. Colin nauczył ją myśleć, że jest nieładna i niewarta miłości, przepłaszając wszystkich możliwych przyjaciół, których mogła mieć. Wprowadził reżim, w którym nie mogła zrobić kroku bez jego pozwolenia. Żyła w ciągłym strachu, a pamięć o tym powodowała, że wciąż jeszcze zdarzało jej się kulić ze wstydu.

A kiedy zdradził ją David...? Była przerażona, zła i czuła obrzydliwy niesmak, ale... Musiała stawić czoło i tej prawdzie. Nie dotknęło jej to aż tak głęboko, żeby mogło tłumaczyć późniejszy szok i amnezję. Właściwie nie spodziewała się po nim niczego lepszego. Ale dlaczego w takim razie zgodziła się na zaręczyny? Odpowiedź była prosta. Bo on nigdy nie zdobyłby nad nią żadnej władzy, nie kochała go i nigdy by nie pokochała. Wstrętne, ale prawdziwe.

A Gerard? Gerard był inny. Niebezpiecznie inny. To, że przetrwała jedenaście lat z ojczymem, zawdzięczała zarówno nienawiści do niego, jak i silnemu postanowieniu, że wyrwie się spod jego władzy i urządzi sobie własne nowe życie, kiedy dorośnie. Przysięgła sobie, że nie da się złamać, że ostateczne zwycięstwo będzie należeć do niej. Ale Gerard

mógłby zniweczyć to nowe życie i zburzyć doszczętnie jej spokój ducha - gdyby była na tyle głupia, żeby pozwolić mu na to. Miłość była silniejsza od nienawiści, zawsze o tym wiedziała, dlatego zrobiła wszystko w swoim dorosłym życiu, żeby się jej ustrzec. Miłość była luksusem, na który nie śmiała sobie pozwolić. Ostateczna cena mogłaby się okazać zbyt wysoka. Gdyby znudził się nią, odepchnął po tym, jak oddałaby mu swoje serce i ciało, nie przeżyłaby tego. A jakim cudem, z jej wyglądem, z całym bagażem jej życia, mogłoby się to skończyć inaczej?

Na razie nie zdawała sobie sprawy, że Colin mimo wszystko wygrał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Podróż do Casablanki pozostała dla Kit na zawsze mglistym wspomnieniem. Przywoływała potem wyraz twarzy Gerarda, zaciśnięte w bólu usta, ołowiane oczy, załatwianie nie kończących się formalności, ale tamtego dnia trwała w stanie emocjonalnej pustki, aż do chwili, kiedy przywiózł ją do hotelu.

- Kotku? - Stali w holu recepcyjnym. Nie miała bagażu i zdecydowanie odmówiła, kiedy zaproponował, że od prowadzi ją do pokoju. - Musisz mi powiedzieć, co cię tak wzburzyło. Czy chodzi o Davida? Skrzywdził cię w jakiś sposób?

Na dźwięk tego imienia przyszedł jej do głowy sposób ucieczki. Pragnął jej, co do tego nie miała wątpliwości, a ze swoim upartym charakterem mógłby jej nie dać spokoju - dlatego musiała zakończyć tę sprawę brutalnie.

- David? - Zmusiła się do spojrzenia mu w oczy. Poraz pierwszy od chwili, w której odzyskała pamięć, spoglądała na niego przytomnym wzrokiem, i serce ścisnęło jej się z żalu. Kochała go, jak ona go kochała. Chciała zdjąć z jego twarzy ten smutek, wygładzić zmarszczki cierpienia. .. Opamiętała się natychmiast. - Oczywiście, że David mnie nie skrzywdził. Przecież jesteśmy zaręczeni.

- Właśnie. Coś cię dręczy i on wydaje się pierwszym podejrzanym.

- Nic mi nie jest. I zapewniam cię, że David nie jest powodem moich zmartwień, w żadnym sensie. Po prostu chcę do niego wrócić - mówiła beznamiętnym głosem, czując, że nogi uginają jej się w kolanach. - Zobaczyć się z nim, objąć go, wiesz, jak to jest.

- Jak to jest? - powtórzył jak echo jej słowa, tak łagodnym tonem, że dałaby się nabrać, gdyby nie spoglądała mu znowu w twarz.

- Powinieneś być zadowolony. Wrócisz do kobiet w twoim typie, takich jak Zita... zmysłowych, seksownych, prawdziwych kobiet...

- Do diabła z tym. - Chwycił ją za rękę żelaznym uściskiem i zaciągnął do pustej kawiarenki za recepcją. - Siadaj, zamknij się i nie ruszaj przez chwilę - warknął groźnie przez zaciśnięte zęby.

O dziwo, ten brutalny popis siły nie tylko jej nie przstraszył, ale sprawił wyraźną ulgę. Zachował się w swoim stylu, jak wszystkie podobne typy, tak jak Colin. Chciał ją mieć i tylko to się liczyło; zwierzęca, prymitywna żądza musiała zostać zaspokojona.

- Nie próbuj mnie zastraszyć, Gerardzie - powiedziała zimno. - To na nic.

- Zastraszyć? Naprawdę myślisz, że o to mi chodzi? Wciąż nie rozumiesz? - Pokręcił wolno głową, szukając w jej oczach jakiejś isierki, czegokolwiek.

- Oczywiście, że o to ci chodzi. Tacy jak ty używają zawsze tej samej metody. David przynajmniej...

- David? - Cisnął jej w twarz to imię ze zjadliwą goryczą. - Nie wyskakuj do mnie z tym Davidem jak z jakimś bohaterem, bo przestanę ręczyć za siebie. Jeśli twój narzeczony jest takim wzorem cnót, to dlaczego, do diabła, puścił cię samą do obcego kraju, wiedząc, że nie znasz ani jednego arabskiego słowa? Odpowiedz mi. I chyba musiał wiedzieć, że wydarzyło się coś, co cię przeraziło?

- To nie tak... - Zreflektowała się natychmiast. Nie mogła mu wyjaśnić okoliczności przyjazdu do Maroka ani opowiedzieć o dzieciństwie spędzonym z Colinem. Nigdy z nikim nie była w stanie o tym rozmawiać, bo czuła, paradoksalnie, że sama częściowo ponosiła za to winę. Gdyby była ładniejsza, sympatyczniejsza...

- Nie tak? - Potrząsnął nią ze złością. - Gdybyś była moja, pilnowałbym cię jak oka w głowie, a nie narażał na zaczepki każdego Romea, któremu przyjdzie do głowy spróbować szczęścia z samotną kobietą.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

- Możliwe. - Rzucił jej posępne spojrzenie. - Ale dla czego tak jest? Bo nie chcesz ze mną rozmawiać. Wiem o tobie niewiele więcej niż w dniu, kiedy się poznaliśmy.

Mon Dieu... - Wyrzucił ręce w geście, który zaczynał być jej znajomy. - Naprawdę tego nie widzisz, że jesteś potwornie niesprawiedliwa wobec nas obojga?

- Nie ma żadnych „nas”.

- Och, mylisz się - poprawił ją słodkim głosem. - Są jacyś „my”, kotku, czy ci się to podoba, czy nie. Chcesz, żebym ci to udowodnił? - Zanim odgadła jego intencje, zamknął jej usta twardym, brutalnym pocałunkiem. Próbowwała z nim walczyć, przez kilka długich sekund naprawdę próbowała, i nagle stopniała w jego ramionach, bezsilna, niezdolna oprzeć się magii spragnionych, namiętnych ust.

- I co? - Odsunął się raptownie, oddychając ciężko, hipnotyzując ją płomiennym, aroganckim wzrokiem, w którym - gdyby miała większe doświadczenie - wyczytałaby też rozpaczliwą niepewność.

Koniuszkiem palca dotknęła swoich opuchniętych warg. A potem powiedziała mu cicho, że mówi o seksie. O zwierzęcej chuci, pociągu fizycznym, jak by tego nie nazwać. Widziała, co to robi z ludźmi. Musi być coś więcej.

- Żegnaj, Gerardzie. - Wyszła z kawiarenki, spodziewając się, że on pójdzie za nią, zawoła, cokolwiek, i dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi windy, zdała sobie sprawę, że pożegnała

go na zawsze.

W pokoju okazało się, że wszystkie rzeczy są w takim stanie, w jakim je zostawiła. Ubrania w szafie w nienagannym porządku, równiutko ustawione buty. Uładzone, pod kontrolą, bezpieczne. I tak wyglądało całe jej życie. Usłyszała żalosny pisk jakiegoś małego zwierzątka i musiało minąć kilka sekund, nim zorientowała się, z uczuciem panicznego strachu, że to jej własny głos. To nic nie pomoże. Spojrzała w lustro toaletki i oddychając głęboko, próbowała zdławić bezdenną rozpacz, która wyzierała z jej oczu. Od śmierci rodziców kierowała własnym życiem, była wolna jak ptak, i było jej z tym dobrze. Za nic nie wyrzekłaby się swojej wolności - zdobytej po tylu cierpieniach - dla takiego człowieka, jak on. Bez względu na to, jak bardzo go kochała. Zerknęła jeszcze raz w lustro, zadowolona, że znowu widzi w nim siebie.

Co miała zrobić? Położyła się na łóżku, czekając na wezbrane pod powiekami łzy, ale nie popłynęła ani jedna. Co miała ze sobą zrobić? Jak miała przeżyć z tym resztę życia?

Przez całą noc nie zmrużyła oka. Kiedy nadszedł nieunikniony ranek, spakowała walizki, wzięła prysznic i zadzwoniła do recepcji, żeby sprawdzić, czy na pewno zamówiono dla niej na dziesiątą taksówkę. Samolot odlatywał dopiero o drugiej po południu, ale chciała znaleźć się jak najszybciej na lotnisku, gdzie, w anonimowym tłumie ludzi, mogła być naprawdę sama.

Myśl o śniadaniu napawała ją wstrętem, postanowiła jednak zejść do jadalni. Od kilku dni prawie nic nie jadła, a do tego żyła w ciągłym stresie, i zaczynała czuć się co najmniej dziwnie.

Wcisnęła w siebie kawałek tostu, popiła mocną kawą, gdy usłyszała pisk opon. Odruchowo spojrzała w okno. Z błyszczącego ferrari wysiadł Gerard, wyraźnie ignorując znak zakazu parkowania, i wbiegł po hotelowych schodach, nie zamknąwszy nawet drzwi samochodu.

- Nie... - szepnęła, zamykając oczy.

Nie mogła spotkać się z nim jeszcze raz, nie zniósłaby tego. Rozejrzała się w popłochu po wypełnionej do połowy sali, rozważając przez ułamek sekundy ucieczkę do damskiej toalety, ale natychmiast pojęła absurdalność tego pomysłu. Nie mogła przesiedzieć tam całego dnia, a nawet gdyby uciekła do miasta, w końcu i tak musiałaby wrócić do hotelu. Wzięła głęboki oddech i wstała na miękkich nogach od stołu. Sądząc po wyrazie jego twarzy, nie mogła się spodziewać niczego przyjemnego.

W holu go nie było. Wcisnęła guzik ściągający windę, łudząc się nadzieją, że zdąży dostać

się do swojego pokoju, zanim Gerard ją znajdzie, i przynajmniej uniknie publicznego ośmieszenia się. W strasznych czasach dzieciństwa i dojrzewania doskonale opanowała sztukę maskowania uczuć i zachowania pokerowej twarzy w każdych okolicznościach - ale w kontaktach z nim, od samego początku, ta umiejętność zdawała się bezużyteczna.

Kiedy otworzyły się drzwi windy i stanął przed nią, niczym żywy posąg, krew zaczęła pulsować jej w skroniach tak gwałtownie, że była bliska omdlenia. Musiał to zauważyć, bo chwycił ją za łokcie, wciągnął błyskawicznie do środka i nacisnął guzik, lekceważąc biegnących w ich stronę dwóch biznesmenów.

- Dzień dobry, kotku. - Nie patrzył na nią, skupiony na zamkniętych drzwiach windy, która mknęła szybko w górę.

- Co ty tu robisz...?

- Za chwilę.

Dopiero kiedy wyszli z windy na wyłożony grubym dywanem korytarz i ruszyli do jej pokoju, przeraziła się na dobre. Stała w miejscu jak wryta i odepchnęła go z całej siły.

- Nie zrobię ani kroku dalej i nie ma mowy, żebyś wszedł do mojego pokoju.

- Nie pleć - powiedział spokojnie i chwycił ją na rękę, ku ogromnemu zdumieniu małżeństwa w średnim wieku, które akurat wyszło ze swojego apartamentu. - *Bonjour*.

- Skinąwszy głową, ruszył przez korytarz i postawił ją przed właściwymi drzwiami z rozmyślnym zamachem.

- Czy mam poszukać klucza w twojej torbie, czy będziesz rozsądna i sama go znajdziesz?

Drżącymi palcami sięgnęła do torebki i wyczuła zimny metal. Mimo wyniosłego spokoju w głosie był wściekły, wiedziała o tym. Mówiły to jego zimne jak lód oczy i kamienny wyraz twarzy.

Dwa razy usiłowała trafić do zamka, a przy trzeciej próbie zabrał jej klucz i pewną ręką otworzył drzwi.

- Proszę.

Weszła bez protestu do słonecznego pokoju i odwróciła się tuż za progiem, patrząc mu hardo w twarz.

- A więc? - Gdy usłyszała własny głos, który zabrzmiał bardziej błagalnie niż hardo, uniosła wysoko brodę. Miała za sobą całe lata płaszczenia się przed szaleńcem, dlatego postanowiła dawno temu, że już nigdy więcej nie znajdzie się w takim położeniu.

- Dlaczego utrzymywałaś mnie w przekonaniu, że jesteś zaręczona z Davidem?

- Co?

- Słyszałaś! - Widząc, jak cała sztywnieje, opanował się natychmiast i zaczął mówić spokojniejszym tonem.

- Zerwałaś zaręczyny jeszcze przed wyjazdem do Maroka.

Na początku mogłaś o tym nie wiedzieć, straciłaś pamięć, ale od wczoraj wiesz. Wszystko sobie przypominałaś. Więc powtarzam pytanie. Dlaczego pozwoliłaś, żebym myślał, że wciąż jesteś zaręczona z kimś innym?

- Jak się dowiedziałeś? - spytała zduszonym szeptem.

- Twoja współlokatorka martwiła się, że od czasu kiedy rozmawiał z tobą jej wspaniały braciszek, nie dałaś o sobie znać. Wiedziała, że zrobił ci przykrość, i zadzwoniła, żeby powiedzieć, jak bardzo ją oburzył sposób, w jaki potraktował twoją... niedyspozycję, i że ma dość jego kłamstw i oszustw. To była bardzo ciekawa rozmowa.

A więc? - Zrobił krok w jej stronę. - Chcę, żebyś odpowiedziała na moje pytanie.

- Tak było łatwiej...

- Łatwiej! Komu, do cholery, było łatwiej... tobie? Ja przeżywałem koszmar, myśląc, że naprawdę chcesz do niego wrócić.

- Nie mów głupstw! - Dopiero teraz cofnęła się o krok, głównie po to, żeby nie paść mu w ramiona. - Znamy się raptem kilka tygodni. Nic między nami nie ma.

- Daruj sobie te bajki - powiedział cierpko. - Wiesz, co do ciebie czuję... wszyscy wiedzą. Przeszedłem piekło, poskramiając swoje pragnienie, bo wiedziałem, że oczekujesz ode mnie opieki, poczucia bezpieczeństwa, że jesteś chora i załęczniona. Próbowałem postępować ostrożnie, pokazać ci swój dom, rodzinę, powoli budować twoje zaufanie, ale wszystko, co robiłem, coraz bardziej oddalało nas od siebie, a ja cały czas myślałem, że jesteś wierna Davidowi. Niech to szlag! Musiałaś się dobrze bawić!

- To nie jest tak - szepnęła z rozpaczą.

- A jak jest? Powiedz mi, otwórz swoje piękne kłamliwe usta i powiedz mi. Dlaczego zerwałaś zaręczyny?

- Emma ci nie powiedziała?

- Nie. - Machnął wściekle ręką. - Powiedziała, że w jakiś sposób cię zawiódł, ale że sama mi o tym opowiesz, jeśli zechcesz.

- Znalazłam go z kimś innym w łóżku. - Opuściła głowę, tak żeby włosy zasłoniły jej rozpalone policzki.

- Głupiec. Więc to o tym starałaś się zapomnieć? Ale nie wszyscy mężczyźni są tacy jak on. Kotku, nie rozumiesz...

- Nie o to chodzi! David nie ma z tym nic wspólnego!
- Wybuchła gwałtownie, a potem wbiła oczy w podłogę i zastygła w bezruchu.
- Kotku, nie możesz tak po prostu odejść z mojego życia - powiedział po długiej chwili. - Musisz to zrozumieć. Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że jesteś moja...

- Nie mów tak, słyszysz? To, co jest między nami, to tylko fizyczne pragnienie, które czujesz do wielu kobiet. To nic nie znaczy! Zita byłaby...

- Przestań! Pragnę cię, kotku, ale nie na jeden dzień, miesiąc czy rok. Chcę, żebyś była moją żoną, moją na zawsze, rozumiesz? Chcę budzić się przy tobie każdego ranka, być z tobą każdej nocy...

- Nie! - Nic nie mogło wyprowadzić jej bardziej z równowagi. - Nie mogę tego słuchać, jesteś kłamcą! W jej głosie była dzika rozpacz.

- Nie chcesz, żebym cię kochał, prawda? To cię tak śmiertelnie przerażało? Czulaś tak samo jak ja, od początku, i bałaś się samej siebie. Dlaczego?

Kręciła bezradnie głową, ale on chwycił ją za ramiona i potrząsnął nimi ze złością.

- Nie, nie, dosyć tego, musisz mi powiedzieć. Nie mam zamiaru cię stąd wypuścić, do diabła z twoimi sekretami! Nie obchodzi mnie, co zrobiłaś... wszystko jedno, kim byłaś, zanim się poznaliśmy.

- Daj spokój, nie o to chodzi. - Była biała jak prześcieradło. - Ale taka miłość, o jakiej mówisz, jest niebezpieczna. Okrutna i niebezpieczna. Wiem coś o tym.

- Skąd możesz wiedzieć? - Odsunął się o krok i utkwiał w niej kamienne spojrzenie. - Nie dałaś jej szansy, więc skąd możesz wiedzieć, jaka jest miłość? Znałem wiele kobiet w swoim życiu, przyznaję, ale żadna z nich nie poruszyła mojego serca, dopiero ty... Jesteś moją drugą połową, Kit, czy ci się to podoba, czy nie. Okazji było wiele, mogłem zdecydować się na jakiś wygodny związek, małżeństwo, ale zawsze brakowało czegoś najważniejszego. Nie wiedziałem, czego tak naprawdę szukam, dopóki nie poznałem ciebie.

- Nie chcę, żebyś kochał mnie w ten sposób! - krzyknęła z dzikim ogniem w oczach. - Nie rozumiesz?! Taka miłość nie zostawia miejsca dla nikogo więcej! Świat zawęży się do pary ludzi, z których to silniejsze zniewala to drugie, słabsze. A ja nie umiałabym ci się oprzeć, stałabym się taka sama jak ona.

- Ona? Jaka ona? Kotku, chyba nie rozmawiamy o tym samym...

- Nie - zgodziła się ponuro.

I po chwili drętym, beznamiętnym głosem zaczęła opowiadać mu o latach poniżenia, męczarni i strachu, który nie opuszczał jej ani w dzień, ani w nocy, o przerażeniu, jakie budziły w niej kroki ojczyzna za drzwiami, jego głos, o bezwolności matki.

- Dopóki oni żyli, nie zaznałam chwili radości ani spokoju, i to wszystko w imię tej ich wielkiej miłości:..

- To nie była miłość, kotku - szepnął czule. - Gdyby ten człowiek naprawdę kochał twoją matkę, nie zabrakłoby mu miłości i dla ciebie. Dobrze, że ten Colin nie żyje. Po tym, co mi powiedziałaś, jego dni na tym świecie byłyby policzone.

- Nic nie mógłbyś zrobić. Nikt by ci nie uwierzył. Próbowałam wiele razy, ale on był tak czarujący, nie masz pojęcia...

- Nie traciłbym czasu na słowa.

W głosie Gerarda zabrzmiało coś takiego, że ciarki przeszły jej po skórze. Ta jego arogancja, siła, niezachwiana pewność siebie - właściwie co go różniło od Colina?

Wszystko - odpowiedziało jej serce.

Raczej niewiele - natychmiast sprzeciwił się rozsądek.

- Nikomu o tym przedtem nie mówiłaś?

- Nie było komu.

- A David?

- David! - zaśmiała się drwiąco i nagle poczuła, że musi wziąć się w garść. Była bliska hysterii, a teraz nie mogła sobie na nią pozwolić. - Nie, nie mogłabym z nim o tym rozmawiać - odpowiedziała spokojniej. - David, a także wszyscy moi poprzedni przyjaciele, byli po prostu... przyjaciółmi. Rozumiesz? - Spojrzała odważnie w jego napiętą, skupioną twarz. - Nie chciałam niczego więcej. Nawet z Davidem. Możesz mi wierzyć albo nie.

- A teraz?

W powietrzu zawisła głucha cisza i zdawało się przez moment, że czas stanął w miejscu.

- Przykro mi - wydusiła z siebie, nie patrząc mu

w oczy. -Nie mogę...

- Możesz...

- Nie. Właściwie nic o tobie nie wiem...

Przyciągnął ją do siebie i poczekał, aż przestanie się bronić.

- Musisz tylko wiedzieć, co jest między nami - powiedział, zamykając jej usta żarliwym pocałunkiem. - Tylko to się liczy...

Chciała go odepchnąć, wyprężyła się... i nagle jej ramiona, jakby zaczęły żyć własnym życiem, objęły szyję Gerarda, palce utonęły w gęstwinie jego włosów.

Kochała go, kochała go tak bardzo...

Błądził wargami po jej twarzy, całował powieki, brwi, czoło, potem wracał do ust,

napierając na nią swoim twardym ciałem. Czowała, jak bardzo jest podniecony, i ten żar przenikał ją do szpiku kości. Kiedy ułożył ją na miękkim, grubym dywanie, prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Wyprężyła się i cichym jękiem rozkoszy przywitała jego duże niecierpliwe dłonie, posuwające się od piersi do brzucha, coraz niżej. Trzęsła się cała, nie mogąc tego opanować, spragniona i całkowicie bezwolna.

Nie wiedziałam, że to może tak być, pomyślała nieprzytomnie. Nie jestem już sobą, taką, jaką byłam od dwudziestu pięciu lat. On chyba rzucił na mnie jakiś urok... Ta myśl poraziła ją jak piorunem. Zerwała się na równe nogi i stanęła kilka kroków dalej, chowając twarz w dłoniach.

- Kotku? - Pytanie „co się stało?” zamarło mu na ustach. Co on najlepszego wyprawia? Powiedziała mu przed chwilą, że ma za sobą dziesięć lat życia, które były piekłem na ziemi, a on się zachowuje jak słoń w składzie porcelany! Zaklął pod nosem. - To, co czujemy do siebie, jest naturalne...

- Ale tak właśnie było z nimi - powiedziała urywanym szeptem, krzywiąc się z odrazą. - On musiał ciągle na nią patrzeć, być z nią, dotykać jej...

- On był chory, wiesz o tym. Nie kochał twojej matki, on był opętany na jej punkcie. A to zupełnie co innego.

- Tak? A skąd mam wiedzieć, czy to, co do ciebie czuję, jest miłością czy opętaniem?

Może inaczej wyobrażał sobie deklarację jej uczuć, ale w tamtej chwili cieszył się z tego, co mógł dostać.

- Kochanie...

- Nie. Przy tobie czuję się słaba, bezradna, nieopanowana...

- To samo mogę powiedzieć o sobie. Prawdziwa miłość działa w obie strony.

- Proszę cię, zostaw mnie.

- Chyba nie chcesz tego naprawdę.

- Chcę. - Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę.

Wiedział, że mógłby ją mieć. Mówiły to jej drżące usta, jeszcze wilgotne i nabrzmiące po ich pocałunkach, jej pociemniałe oczy. Tak, mógłby ją mieć. Tylko jakim kosztem? Z jej kruchą równowagą? Oboje mieli zbyt wiele do stracenia.

Wyszedł bez słowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Przykro mi, Davidzie, naprawdę nie ma żadnej szansy na to, żebyśmy mogli być znowu razem. - Kit patrzyła na wysokiego, przystojnego mężczyznę, z którym całkiem niedawno była zaręczona, zastanawiając się, jak ona mogła poważnie myśleć o spędzeniu z nim reszty życia. Subtelne, chłopiące rysy, delikatne usta, i te nijakie, szaronie-bieskie oczy... Omal się nie wzdrygnęła. W niczym, absolutnie w niczym nie przypominał Gerarda. Na samo wspomnienie tego imienia coś ścisnęło ją w gardle.

- Wcale ci się nie dziwię - powiedziała porywczym tonem Emma, lekceważąc gniewne spojrzenie brata. - Ta historia z Virginią była dostatecznie obrzydliwa, ale żeby pogrywać z Kit w ten sposób, kiedy była chora, żeby udawać...

- Zamknij się, Emma.

Czy zawsze mówił takim mdłym głosem? zastanawiała się Kit, coraz bardziej zdumiona. Możliwe. Bardzo możliwe, że zawsze był mdły i nijaki.

Była w Anglii od kilku godzin. Przyjechała do domu nie zapowiedziana i, ku swojej radości, zastała w nim samą Emmę. David wpadł na obiad godzinę później. Od dawna miał taki zwyczaj, zanim jeszcze się zaręczyli. Zaczął rozmowę od pretensji o to, że nie uprzedziła go o swoim powrocie, ale stanowczo go zgasiła. Zniósł to nadspodziewanie dobrze, częściowo dlatego, że znał ją na tyle, żeby zdawać sobie sprawę, że nie ma szansy wpłynąć na zmianę jej zdania. Przede wszystkim jednak dlatego, że Emma wyraźnie dała mu do zrozumienia, że trzyma stronę Kit, zarówno w sprawach dotyczących ich wspólnego interesu, jak i tych prywatnych. Lojalność Emmy zaskoczyła Kit i była jak balsam dla jej obolałej duszy.

David wyszedł bez obiadu i zaraz potem, kiedy Kit koła nerwy w gorącej kąpieli, zadzwonił telefon.

- Kit? - zawołała Emma przez uchylone drzwi łazienki. - To był Gerard. Chciał się upewnić, czy dotarłaś bezpiecznie do domu.

- Tak? - Usiadła jak porażona prądem, wylewając mnóstwo wody na podłogę. Potem wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić łomoczące serce. - Pewnie chciał wypełnić swój ostatni obowiązek... jako opiekun i gospodarz w jednej osobie.

- Uhm... - mruknęła w zamyśleniu Emma. - Chcesz powiedzieć, że ten facet nie jest tobą szczególnie zainteresowany?

- Nie, raczej nie. - Zamknęła oczy. Nie była w stanie o tym rozmawiać. - Przelotna znajomość, i tyle.

- Trele-morele. - Emma zaśmiała się i wróciła do kuchni pilnować steków.

Zadzwoił. Jakby zobaczyła światełko w czarnym tunelu. O czym dokładnie rozmawiał z Emmą? Wskoczyła z wanny, owinęła się szlafrokiem i bosy podreptała do kuchni, wycierając po drodze włosy.

- Czy Gerard zostawił jakąś wiadomość? - spytała nienaturalnie spokojnym głosem, nalawszy do dwóch kieliszków schłodzonego białego wina.

- Przelotna znajomość? - spytała chłodno Emma.

- Nie. - Spojrzała szybko w nieprzeniknioną twarz Kit.

- Pytał tylko, czy już jesteś, jak się czujesz i takie tam.

- Aha.

Światełko, które na moment rozproszyło czarny mrok w jej sercu, zgasło. Powinna się była spodziewać. I nie powinna mieć do niego żalu. Chciał wiedzieć, czy wszystko w porządku, upewnić się, że wywiązał się do końca z obowiązków gospodarza. Wciąż nie mogła uwierzyć, że pozwolił jej tak odejść - to przeczyło wszystkiemu, co wiedziała o jego twardym, despotycznym charakterze - ale może to wszystko przekroczyło granice jego wytrzymałości? Ona miała totalny chaos w głowie i była emocjonalnym wrakiem. Może nie miał ochoty komplikować sobie życia z kimś takim? A gdyby wziął ją siłą? Na samą myśl o tym zaparło jej dech w piersiach, zdała sobie bo

wiem sprawę, że po kilku minutach to nie byłby już gwałt. Ale potem znenawidziłaby jego i siebie. Tylko że on nie mógł o tym wiedzieć...

- Kit, co ci jest?

- Nic, zamyśliłam się...

- Nie chcę się wtrącać, wiem, że jesteś bardzo skryta, ale przyjaźnimy się od lat, więc może mogłabym ci po móc?

Niewiarygodne, ale nagle zaczęła opowiadać o swoim koszmarnym dzieciństwie, zaledwie dzień po tym, jak zwierzyła się Gerardowi. Jak gdyby jego zrozumienie i współczucie otworzyło jakąś zbawienną furtkę, dało jej nadzieję na uzdrowienie. Potem opowiedziała Emmie o Gerardzie - wszystko - i kiedy skończyła, zobaczyła w jej oczach bezbrzeżne zdumienie.

- I ty mu pozwoliłaś odejść? Kit, takie dary od losu nie zdarzają się często. Nie pozwól Colinowi i swojej matce marnować sobie dalej życia, na miłość boską! Zadzwoń do Gerarda, zrób coś!

- Nie mogę. - Pokręciła wolno głową. - Naprawdę nie mogę. Trudno mi to wytłumaczyć, ale czeka mnie cholerny wysiłek, zanim pozbieram się sama z sobą.

- Ale to znaczy, że go straciłaś.
- Wiem. Nie mogę o tym myśleć.

Przez kilka następnych dni próbowała odrobić zaległości w obowiązkach związanych z prowadzeniem maleńkiej wspólnej firmy, co po kolejnej nie przespanej nocy stawało się coraz większym koszmarem. Zmuszała się do jedzenia, chociaż na sam jego widok zaciskało jej się gardło. Starła się prowadzić normalne życie, chociaż w środku wszystko w niej wyło. Myślała tylko o Gerardzie i o tym, że zmarnowała swoją jedyną szansę na szczęście, a jednak... Odważyła się stawić czoło prawdzie. Gdyby nagle stanął przed nią, tu, w tej chwili, znów by stchórzyła. Wiedziała o tym.

Kiedy czwartego dnia od powrotu do Anglii wstała z łóżka, nieprzytomna i wyczerpana, na stoliku w korytarzu znalazła małą paczuszkę.

- Listonosz przyniósł to minutę temu – powiedziała Emma z nieszczerą obojętnością. -Znaczek jest marokański... - Zniknęła w łazience, zatrzaskując głośno drzwi.

Spojrzała na ręcznie pisany adres na kopercie i serce skoczyło jej do gardła. To było jego pismo. Otworzyła pudełko bardzo ostrożnie.

Dla mojego najdroższego kotka, i w nawiasie: Mogą cię tak nazwać, bo nie możesz mi tego zabronić, będąc tysiące mil ode mnie. Kocham cię i zawsze będę cię kochał. Noś to od czasu do czasu i myśl o mnie.

Pod bilecikiem była wąska złota bransoletka wysadzana maleńkimi brylantami ułożonymi w kształt serduszek.

Kit osunęła się na kolana, z bransoletką w ręku, i zaniósła płaczem.

Następnego dnia posłaniec przyniósł pięć czerwonych róż, ze świeżymi kropelkami rosy na płatkach, z załączonym jak poprzednio bilecikiem:

Jedna róża na każdy dzień naszej rozłąki. Myśl o mnie.

Kolejnego dnia dostała jedwabną apaszkę, podobną do tej, która tak jej się podobała na szyi Colette. Liścik był czuły i zabawny.

Następny był maleńki kryształowy kotek. *Uwielbiam cię, moja kochana, pamiętaj o tym w dzień i w noc.*

Potem zdarzało się, że zamiast paczki nadchodził list.

Na listy czekała z największym utęsknieniem. Gerard pisał w nich o swojej pracy, życiu w Del Mahari, o swoich porannych przejażdżkach, planach na przyszłość, o żalu z powodu przeszłości.

- On się do mnie zaleca - dotarło do niej po trzech tygodniach od nadejścia pierwszego prezentu.

- Oczywiście. - Emma westchnęła z zazdrością. - Mówiłam ci, że takie dary losu nie zdarzają się często,

w każdym razie na pewno nie tutaj. - Spojrzała na mokre od deszczu szyby. - Pierwszy listopada. Założę się, że w jego kraju jest trochę cieplej.

Kit pokiwała smętnie głową. Wszędzie byłoby cieplej, gdyby on tam był.

W trzecim tygodniu listopada, kiedy przed jej wyjściem do pracy nie nadeszła poczta, ogarnęła ją panika. Może zmęczyły go te jednostronne zaloty? Może wczorajszy list był ostatnim w życiu? W jedno przedpołudnie popełniła więcej błędów w pracy, niż przez całą swoją zawodową karierę i po tym, jak po raz nie wiadomo który napadła bez powodu na Emmę i Davida, uciekła do domu, tłumacząc sobie, że musi na godzinę oderwać się od interesów. Uczucie niewysłowionej ulgi, które ogarnęło ją na widok koperty za znajomym pismem, uświadomiło jej, że okłamywała samą siebie. Na wiele sposobów. On nie był już dzikim, namiętym obcokrajowcem. Otworzył przed nią serce i duszę, ufając jej bezgranicznie. I co ona miała z tym zrobić?

Kilka dni później zadzwonił telefon. Leżała zwinięta w kłębek przed kominkiem, nareszcie sama, czytając po raz kolejny jego listy. Myślami obecna w dalekim ciepłym kraju, podniosła machinalnie słuchawkę i omal nie wypuściła jej z ręki.

- Halo, czy mógłbym rozmawiać z Kit?

Łzy zamgliły jej oczy. Nic nie widziała i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Kochała go, tęskniła za nim, nie wiedziała, jak zdoła przeżyć bez niego resztę życia...

- Kit? To ty? - spytał łagodnie po chwili napiętej ciszy.

- Tak. - Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak trudne może być wypowiedzenie jednego słowa.

- Jak się czujesz?

- Lepiej.

To było straszne. Mów do niego, powiedz cokolwiek, przemawiała do siebie gorączkowo. Podziękuj za prezenty, kartki, a przede wszystkim za listy, te wszystkie cudowne, zabawne, romantyczne, mądre listy...

- To dobrze. Mam kilka dobrych wieści - powiedział cicho, tym samym ciepłym głosem. - Amina spodziewa się dziecka.

- Naprawdę? To cudownie, ale jak to się stało... -przerwała w pół zdania, zawstydzona głupstwem, które palnęła. - Chodzi mi o to...

- Myślę, że wiem, o co ci chodzi - powiedział poważnie, z lekką tylko nutą rozbawienia w głosie, które wyraźnie starał się ukryć. - Skorzystałem z twojej rady i porozmawiałem z Assadem. Był pewien mały problem, któremu udało się szybko zaradzić. W każdym razie Amina na pewno jest w ciąży.

- To cudownie - powtórzyła słabym głosem.

- Widzisz, że można kochać kogoś nad życie i dbać też o innych? Miłość powinna rodzić miłość, kotku. Troszczysz się o Aminę i Assada podobnie jak ja, a to nie zagraża temu, co czujemy do siebie.

- Gerard...

- Wysłuchaj mnie. Nie jestem taki jak Colin, a ty nie jesteś taka jak twoja matka. Nasze dzieci będą owocami naszej miłości i oboje będziemy je kochać, chronić i dbać o nie, rozumiesz?

- Nasze dzieci? - To dzieje się za szybko, zdecydowanie za szybko, myślała w popłochu.

- Chcę cię spytać o jedną rzecz, Kit. Czy ty w ogóle wyobrażasz sobie mnie w swoim życiu, w jakiejś bliższej lub dalszej przyszłości? Wiem, przez co przeszłaś, przez co nadal przechodzisz, ale muszę wiedzieć przynajmniej tyle. Potrafię cię przekonać, że jesteśmy dla siebie stworzeni, cudownie dopasowani w łóżku i poza nim, mogę nauczyć cię zaufania do mnie, wiary w czułość, we współczucie, różnych normalnych rzeczy, które zostały ci odebrane, ale pod warunkiem, że mi na to pozwolisz. - Po następnej długiej chwili milczenia zaklął miękko. - Niech to szlag... Kit, muszę usłyszeć od ciebie coś, czego mógłbym się ucześć... żeby mieć jakąś nadzieję. Może to nie fair, ale potrzebuję tego. Zdaje się, że nie powinienem cię o to pytać. Powinienem nadal grać rolę silnego, milczącego macho, a nie obsypywać cię kwiatami i miłosnymi listami...

- Nie, Gerardzie.

Prosił, żeby zrzuciła pancierz ochronny, który przez całe dorosłe życie dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Jeżeli ją kochał, a wciąż nie bardzo wierzyła, że ktoś taki jak on mógłby obdarzyć namiętnym uczuciem kogoś takiego jak ona, ale nawet jeśli ją kochał, jak mogła odwzajemnić mu wielką miłość, skoro panicznie bała się wielkich uczuć? Bała się zobowiązań, utraty niezależności, bała się życia... Z tymi wszystkimi kompleksami i zahamowaniami zniszczyłyby ich oboje.

- Czy to jest twoja odpowiedź?

Nie mogła mu odpowiedzieć, więc odłożyła bez słowa słuchawkę.

- Jesteś obrzydliwym tchórzem - szepnęła. – Colin miał rację, nie zasługujesz na miłość. Nie zasługujesz na nic.

Wiele razy w ciągu następnych dni myślała, że dłużej nie wytrzyma, ale jakoś wytrzymywała i życie toczyło się dalej. Zbliżało się Boże Narodzenie, wszyscy wokół byli zajęci przygotowaniami do świąt, a Kit jakby to wszystko nie dotyczyło. Jej serce było martwe. Zaczęło umierać pierwszego dnia, w którym nie doczekała się listu. Następnego ranka również nie było poczty, podobnie następnego, i następnego... W końcu zrozumiała, że nie będzie już żadnych listów.

Emma z Davidem wybierali się na święta do swoich rodziców. Emma próbowała ją namówić, żeby pojechała z nimi, ale Kit tłumaczyła uparcie, że chce odpocząć, że marzy jej się chwila samotności i spokoju. Obie wiedziały, że to kłamstwo, ale w końcu Emma ustąpiła, wymusiwszy na przyjaciółce obietnicę, że będzie dzwonić do niej codziennie rano.

Małe mieszkanie wydało się Kit przerażająco puste, kiedy wróciła do niego sama, pożegnawszy się na dole z Emmą. Rzuciła okiem na kilka nie dokończonych przez siebie projektów mody plażowej, ale po chwili odłożyła je z niesmakiem. Włączyła telewizor, przeleciała przez wszystkie kanały, i po wysłuchaniu fragmentów kilku kolęd, cisnęła pilota w kąt i sięgnęła po pierwszą z brzegu książkę.

- Jesteś szczęściarą - powiedziała do siebie głośno, przeczytawszy kilka razy tę samą stronę. Firma zaczęła naprawdę kwitnąć, mieli mnóstwo zamówień na projekty, ona była zdrowa, młodą, wolna od kłopotów finansowych... Wtuliła głowę w ramiona i zanosła się rozpaczliwym szlochem.

Po kilku godzinach nicnierobienia i użalania się nad własnym losem ogarnęła ją złość i wyszła na spacer do Hyde Parku. Wróciła późnym popołudniem, przyjemnie zmęczona i prawie pogodzona z faktem, że spędza w ten sposób święta. Może Nowy Rok będzie lepszy...

Po długiej kąpieli ubrała się w pidżamę i miękki szlafrok, usiadła w wygodnym fotelu i rozejrzała się zgaszonym wzrokiem po świątecznie przyozdobionym pokoju. Kłujący ból w piersiach stawał się coraz bardziej dotkliwy. Jak ona za nim tęskniła... Ale tak było lepiej. Unieszczęśliwiłaby go swoim jarzmem przeszłości, lękiem, niepokojami, swoją nieufnością. Powinien znaleźć sobie kogoś innego. Serce waliło jej jak oszalałe, ale starała się myśleć racjonalnie. Pewnie już kogoś ma, może Zita pomagała mu dojść do siebie? Po ostatnim nieszczęsnym telefonie nie przysłał ani jednego listu, nie próbował się z nią skontaktować. Zagryzła wargi do krwi i wybuchnęła płaczem.

Na dźwięk dzwonka u drzwi nerwowo podskoczyła. Kto, u diabła...? Czekwała, ocierając

oczy i chlipiąc bezradnie. Ktoś zadzwonił po raz drugi, a potem trzeci i czwarty... Cholera. Nie odejdzie.

Zanim otworzyła drzwi, zerknęła w lustro. Nigdy, nawet w najlepszych czasach, nie potrafiła ładnie płakać. A to z pewnością nie były najlepsze czasy.

- Cześć.

A więc do końca zwariowała. To nie mógł być on.

Tęskniła za nim tak bardzo, tak bardzo go potrzebowała, że jej umysł zakpił z niej - ma halucynacje.

- Kotku? Mogę wejść do środka?

Był tutaj. To był on. Cofnęła się o krok, patrząc mu w twarz. Kochaną twarz. Nie mogła wydusić z siebie słowa, tylko wiodła za nim nieprzytomnym, zdumionym wzrokiem. Wyglądał wspaniale i pachniał tym czymś... Rozpoznałaby ten zapach na końcu świata.

- Kotku? - Odwrócił się, kiedy zamknęła drzwi, i spróbował się uśmiechnąć. Na próżno. Jego blade usta rozchyliły się w niepewnym grymasie.

Był zdenerwowany! To niemożliwe... Ale tak było.

- Wiem, że Emma wyjechała, i nie chciałem, żebyś była sama w święta... Płakałaś? - spytał głosem dawnego Gerarda, stanowczym i żądającym odpowiedzi.

- Trochę... Pewnie wyglądam jak kupka nieszczęścia.

- Wyglądasz pięknie. Dla mnie mogłabyś zawsze tak wyglądać.

- Gerard...

- Wiem, wiem. - Podniósł rękę i odwrócił się do okna. - Nie przyjechałem tu po to, żeby cię dręczyć, proszę, uwierz mi. Wiem, że potrzebujesz czasu, i zrozumiałem, że bezsensownie przypierałem cię do muru. Sama musisz dojść do tego, czego chcesz. To była moja wina. - Wciąż stał odwrócony do niej plecami. - Dręczyłem cię, podczas gdy ty potrzebowałaś spokoju, żeby móc cofnąć się o krok i ocenić z dystansu swoje przeszłe i teraźniejsze życie, poukładać sobie to wszystko w głowie. A ja po prostu bałem się, że cię stracę... - Na chwilę załamał mu się głos. - Bałem się, że jak już dojdiesz całkiem do siebie, zabraknie dla mnie miejsca w twoich planach, dlatego tak szarżowałem. Przejrzałem na oczy dopiero po naszej ostatniej rozmowie telefonicznej. Chciałem wzbudzić w tobie zaufanie, pokazać, jaki jestem, co myślę, jak czuję...

- Gerard... - Kiedy przerwała mu stanowczym głosem, odwrócił się i spojrzał na nią błagalnie.

- Nie mów tego, kotku.

- Czego?

- Żegnaj.

- Żegnaj? - O czym on mówił?

- Jesteś mi potrzebna. - Uniósł w bezradnym geście ręce i zaraz potem opuścił je bezwładnie. - Nikogo w życiu nie potrzebowałem tak bardzo. Ty jesteś moim życiem. Wiem, że to ty zostałeś skrzywdzona i powinnaś mieć kogoś silnego, na kim mogłabyś polegać, kto by cię chronił, ale, do licha, zaczynam wariować. Mam wrażenie, że jesteś we mnie, we wszystkim, co robię, w każdej mojej myśli. Nie mogę tak dłużej... - Przerwał, wystraszony ostatnimi słowami. - Kit, nie chciałem powiedzieć, że...

- Wolał zamilknąć.

On potrzebuje jej? Nie, to niemożliwe, myślała szukając odpowiedzi w jego twarzy. Ale to była prawda. Widziała, że cierpi tak jak ona. Jak mogła tego nie rozumieć? Łzy potoczyły się po jej policzkach. Jak mogła go tak dręczyć? Potrzebował jej, tylko jej, nikogo innego. Patrzył na nią inaczej niż ona patrzyła na samą siebie - po latach wmawiania jej, że jest brzydka, nic niewarta, przez nikogo nie kochana. On ją kochał.

- Jestem ci potrzebna? - wyszeptwała. - Naprawdę jestem ci potrzebna? - powtórzyła głośniej, czując, jak rozpiera ją radość, silniejsza od strachu i bólu.

- Tak bardzo... - Błądził nieprzytomnie wzrokiem po jej twarzy, niepewny jej reakcji. - Ale mogę cierpliwie czekać...

- A ja już nie mogę.

Wciąż się wahał, jak gdyby nie wierzył własnym uszom.

- Chciałbym, żebyś została moją żoną - powiedział, cedząc słowa. - Chciałbym, żebyś była ze mną, żebyś mi ufała i rozumiała, że jestem zawsze przy tobie, bez względu na wszystko, ale wiem, że to będzie dla ciebie trudne. Mogę poczekać na miłość fizyczną tak długo, jak zechcesz...

- Jak długo czeka się na konieczny dokument? - spytała cicho.

- Dokument...? - I nagle, nareszcie był przy niej. Zamknął ją w swoich ramionach i mrużąc jej imię, obsypywał pocałunkami zapłakaną twarz Kit.

- Kocham cię, kocham, kocham... - powtórzyła wiele razy niczym magiczne zaklęcie.

- A ja kocham cię. - Wpatrywał się, szczęśliwy, w jej czerwoną, spuchniętą od łez twarz. - I będę cię kochał zawsze.

- Wiem. - Położyła mu dłoń na policzku i nagle dotarła do niej cudowna świadomość, że wie naprawdę. Nareszcie. I że nigdy już nie zwątpi w jego uczucie. Jak powiedziała Emma,

takie dary losu nie zdarzają się często i ona chciała tego daru.

- Co znaczy ten uśmiech Momy Lisy? - spytał czule.

Kiedy powtórzyła mu słowa Emmy, uśmiechnął się do niej, mrużąc zagadkowo oczy.

- Lubię tę twoją Emmę. To dzięki niej uwierzyłem, że mogę mieć jeszcze jakąś szansę.

- Rozmawiałeś z Emmą?

- Oczywiście. - Przygarnął ją do siebie mocniej, pieczętując zaręczyny długim, namiętym pocałunkiem.

- Mam ochotę cię zjeść - mruknęła, wtulając twarz w jego ciepły tors. - Nie wiem, czy te święta okażą się do końca udane... mogę wyjść na idiotkę, ale myślę, że już czas, żebym odpakowała ten szczególny podarunek od losu. Czekałam na to tak długo.